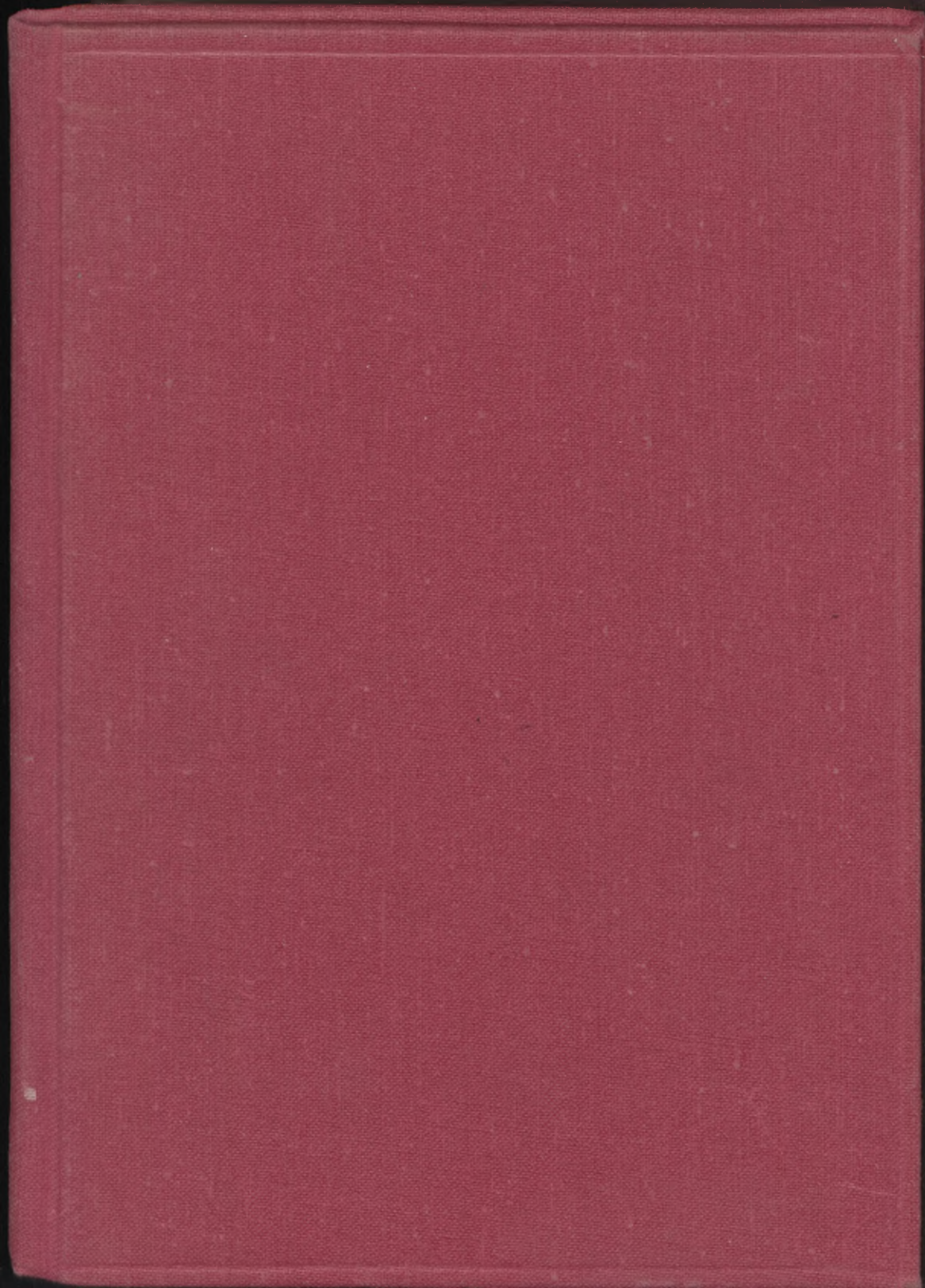




BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW
LITERATURY EUROPEJSKIEJ.

LITERATURA NIEMIECKA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów”.)

1 8 7 8.

1807

H. Nowak

G. E. LESSING.

— 176857

EMILIA GALOTTI.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEŁOŻYL

Tłómacz „Wallensteina“.

WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy Świat, Nr. 39.

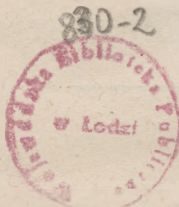
1878.



42.992

Дозволено Цензурою.

Варшава, 18 Ноября 1877 года.



4
LES.
EMI

5924

Wydano z dubletów
Bibl. Uniw. w Łodzi

EMILIA GALOTTI.

O S O B Y:

Emilia Galotti.
Odoardo Galotti, jój ojciec.
Klaudia, jego żona.
Hektor Gonzaga, ksiązę Gwastalli.
Marinelli, szambelan księcia.
Camillo Rota, jeden z radców.
Conti, malarz.

Hrabia Appiani.
Hrabina Orsina.
Angelo.
Battista, służący księcia.
Pirro, służący Galottich.
Sługi księcia.

A K T I.

S C E N A I.

KSIĄŻĘ sam, później SŁUŻĄCY.

Książę (*przy biurku, przeglądając papiery i korespondencje*). Skargi, nic tylko skargi! Prośby, nic tylko prośby!... Smutne zajęcie, a zazdroszczą nam jednak!... Zapewne; gdybyśmy wszystkim dopomódz mogli, wówczas godnibyśmy byli zazdrości... (*Otwiera jedną z prośb i spogląda na podpis.*) Emilia?... jakaś Emilia!... Ale Emilia Bruneschi... nie Galotti. Nie Emilia Galotti!... Czego chce ta Emilia Bruneschi?... (*Czyta.*) Wiele żąda, bardzo wiele... Ale nazywa się Emilia... otrzyma. (*Podpisuje i dzwoni, wchodzi służący.*) Nie ma jeszcze żadnego z radców w sali wchodowej?...

Służący. Nie ma.

Książę. Zbyt wcześnie pracę dzienną zacząłem... Taki piękny poranek... muszę się przejechać. Margrabia Marinelli będzie mi towarzyszył. Posłać po niego. (*Służący wychodzi.*) Nie mogę dłużej pracować... Byłem, zdawało mi się, tak spokojny, tak spokojny...

trzeba, żeby jakaś biedna Bruneschi nazywała się Emilia... przypaść mój spokój!

Służący (*wchodzi*). Po margrabiego posłano. Oto jest list od hrabiny Orsina.

Książe. Orsina?... połóż go tam.

Służący. Posłaniec jęj czeka.

Książe. Odpowiedź odeślę, jeśli będzie potrzebna. Gdzie ona jest teraz? w mieście czy w swojej willi?...

Służący. Wczoraj przyjechała do miasta.

Książe. Tém gorzej... lepiej, chciałem powiedzieć. Tém bardziej posłaniec niepotrzebuje czekać. (*Służący wychodzi.*) Moja droga hrabina. (*Z goryczą biorąc list w rękę.*) Tak jakbym to już czytał... (*Rzuca pismo.*) Ah! tak, zdawało mi się, że ją kochał! cóż to się człowiekowi nie zdaje! Być może nawet, że ją rzeczywiście kochałem, ale... to przeszłość!

Służący (*wchodzi znowu*). Malarz Conti prosi o łaskawe posłuchanie...

Książe. Conti? bardzo dobrze... niech przyjdzie.. Nada inny bieg moim myślom. (*Wstaje. Wchodzi Conti.*)

SCENA II.

CONTI, KSIĄŻĘ.

Książe. Dzień dobry, Conti. Jak się masz?... Co porabia sztuka?...

Conti. Sztuka, mości książe, poszukuje chleba.

Książe. Oh! o to się troszczyć nie powinna... w niewielkiém mojem państwie z pewnością nie... Ale artysta musi także pracować.

Conti. Pracować? To jego rozkosz. Ale konieczność pracowania zbyt wiele może mu odjąć prawa do imienia artysty.

Książe. Nie mówiłem o zbyt wielkiej, ale o pilnej pracy. Nie przyszedłeś z próżnymi rękami, Conti?

Conti. Przynoszę portret, który u mnie zamówić raczyłeś, dostojny panie. Przynoszę także drugi, który nie był zamówiony, ale ponieważ wart jest widzenia...

Książe. Czyżże to?... Nie mogę sobie przypomnieć...

Conti. Hrabiny Orsina.

Książe. Prawda!... Obstalunek już dosyć dawny!

Conti. Nasze piękne panie nie codziennie malować można. Hrabina od trzech miesięcy zaledwie raz zdecydowała się pozować.

Książę. Gdzież są te portrety?

Conti. W sali wchodowej; przyniosę je. (*Wychodzi.*)

S C E N A III.

KSIĄŻĘ (*sam*).

Jój portret!... dobrze!... Jój portret, to przecież nie ona sama... A może w portrecie znajdę to, czego w oryginale już nie widzę... Nie chcę jednakże tego znaleźć... Natrętny malarz... Sądzę doprawdy, że ona go przekupiła... A gdyby wreszcie! Gdyby inny obraz, innemi farbami, na inném tle namalowany, chciał jój ustąpić miejsca w mojem sercu; doprawdy, sądzą, że byłbym z tego zadowolony... Gdy ją kochałem, byłem zawsze tak lekki, tak wesół, tak swobodny... a teraz to wszystko zniknęło... Ale nie! nie! nie! Czy mi z tém ciężej, czy lżej, wolę stan mój dzisiejszy! (*Wchodzi Conti z obrazami, z których jeden odwrócony opiera o krzesło.*)

S C E N A IV.

KSIĄŻĘ, CONTI.

Conti (*pokazując drugi obraz*). Niech wasza książęca mość raczy zważać na granice naszej sztuki. To co jest najpowabniejszego w piękności, leży w znacznej części po za jój zakresem. Proszę stanąć z tej strony.

Książę (*popatrzywszy chwilę*). Doskonale, Conti, znakomicie! Rzecz warta twojej sztuki, twojego pędzla. Aleś pochlebił, nieskończenieś pochlebił!...

Conti. Nie zdawało mi się, żeby oryginał był tego zdania. Rzeczywiście jest to pochlebioném tylko o tyle, o ile sztuka pochlebiać musi. Sztuka musi tworzyć obraz taki, jaki był w planie plastycznej natury, jeżeli tak wyrazić się wolno... bez tej ujmę, jaką jój planowi wyrządził opór materii, i bez uszkodzeń, któremi go czas dotknął.

Książę. Tém większą jest zasługa myślącego artysty... Mówisz wszakże, że oryginał mimo to sądził...

Conti. Wybacz, mości książę. Oryginał jest osobą, dla której winienem być z uszanowaniem. Nie chciałem o nię powiedzieć nic niekorzystnego.

Książę. Ależ mów, ile ci się podoba!... Cóż więc powiedział oryginał?...

Conti. Jestem zadowolona, powiedziała hrabina, jeżeli nie jestem brzydszą.

Książę. Brzydszą?... O tak, to ona, to rzeczywisty oryginał tego portretu!

Conti. A z jaką miną to powiedziała!... z miną, której na tym portrecie nie zostało ani śladu, ani cienia!...

Książę. O tém myślałem, i właśnie w tém znajduję niezmierne pochlebstwo. O! znam ja dobrze tę dumną, szyderczą minę, która by nawet twarz gracyi zeszpecić mogła! Nie przeczę, że piękne usta w żartobliwym uśmiechu piękniejszemi nieraz się zdają. Ale uśmiechu tego musi być tylko trochę, ściągnięcie warg nie powinno się stawać grymasem, jak u hrabiny. I uśmiech ten winien być złagodzony wyrazem oczu, oczu, jakich hrabina nie ma. Nawet w tym portrecie ich nie ma.

Conti. Dostojny panie, bardzo mi przykro...

Książę. Czemu?... Wszystko, cokolwiek sztuka zrobić może pięknego z wielkich, wyłupiastych, wytrzeszczonych, szklanych jak u Meduzy oczu, wszystko to, Conti, sumiennie zrobiłeś... Powiedziałem: sumiennie?... No, mniej sumienności byłoby może większą sumiennością. Bo powiedz sam, Conti, czy z tego obrazu można poznać charakter osoby? A przecież powinien być widoczny. Dumę zmieniłeś w godność, szyderstwo w uśmiech, skłonność do obłądnego marzycielstwa w łagodną melancholię.

Conti (z pewną urazą). Ah! mości książę... my malarze liczymy na to, że kochanek gotowy obraz przyjmie z tym samym zapałem, z jakim go zamawiał. Malujemy oczyma miłości, i oczy miłości sądzić nas też powinny.

Książę. To trudno, Conti... czemużes nie przyszedł z tém przed miesiącem?... Postaw to na boku... Cóż przedstawia to drugie płótno?...

Conti (przynosząc drugi obraz, ale nie odwracając go jeszcze). Także portret kobiety.

Książę. To chciałbym... lepiej nie widzieć go wcale... Bo ideałowi, który jest tutaj (*wskazuje na czoło*), albo raczej tutaj (*wskazuje na serce*), nie odpowię z pewnością. Pragnąłbym, Conti, podziwiać twoją sztukę w innych przedmiotach.

Conti. Jest godniejsza podziwu sztuka, ale przedmiotu, któryby bardziej podziwienia był godnym, nie ma z pewnością.

Książę. W takim razie, zakładam się, Conti, że to jest władczyni serca artysty. (*Conti odwraca obraz.*) Co ja widzę, Conti? Twoje dzieło, czy utwór mojej wyobraźni?... Emilia Galotti?...

Conti. Jako, mości książę? Więc książę znasz tego anioła?

Książę (*starając się panować nad sobą, ale nie spuszczaając oka z obra-*

zu). Trochę!... tyle, że ją mogłem w tém poznać! Kilka tygodni temu widziałem ją i jej matkę na jedném zebraniu wieczorném. Następnie ukazywała mi się tylko w miejscach świętych, gdzie zbliżać się nie wypadało. Znam także jej ojca. Nie jest on moim przyjacielem. On to największy stawiał opór moim pretensjom do Sabionetty. Stary wojak, dumny i surowy, ale zresztą uczciwy i zacny!

Conti. Ojciec! Ale tu mamy jego córkę...

Książę. Na Boga! jakby ze zwierciadła wyjęta! (*Z oczyma ciągle w obraz wlepionemi.*) O, wiesz o tém dobrze, Conti, że najlepší się mistrza chwali, kiedy się patrzając na jego dzieło o pochwałach zapomina.

Conti. A jednak ja w tém dziele jestem jeszcze bardzo niezadowolony sam z siebie. I znów jestem bardzo zadowolony z tego, że sam z siebie nie kontent... Ha! czemu my nie możemy malować bezpośrednio oczyma!... W długiej drodze od oka przez rękę do pędzla, ileż to przepada bez śladu!... Ale, jak powiedziałem, ponieważ wiem, co tu przepadło, jak przepadło i dlaczego przepaść musiało, jestem z tego dumny, a nawet dumniejszy, niż z tego, czemu zaginać nie dałem. W tamtém bowiem mam dowód, że ja sam jestem wielkim malarzem, tylko moja ręka nie zawsze. Czy nie sądzisz, mości książę, że Rafael byłby największym geniuszem malarskim, choćby się był przypadkiem bez rąk urodził? Czy wierzysz w to, książę?

Książę (*dopiero teraz odwracając oczy od obrazu*). Co mówisz, Conti?... o co pytasz?...

Conti. Oh! [nic! nic!... gadałem tylko!... Dusza księcia, jak uważam, była cała w oczach. Lubię taką duszę i takie oczy.

Książę (*z wymuszoną obojętnością*). A zatem, Conti, rzeczywiście zaliczasz Emilię Galotti do najpiękniejszych piękności naszego miasta?

Conti. Zaliczam?... zaliczam do "najpiękniejszych" i to do najpiękniejszych w naszém mieście?... Żartować raczysz ze mnie, mości książę, lub też przez cały ten czas widziałeś książę tylko tyle, ileś słyszał.

Książę. Kochany Conti... (*zwraca znowu oczy na obraz*) Któż z nas może ufać swym oczom? Właściwie tylko malarz może wydawać zdanie o piękności.

Conti. A wrażenie każdego miałoby czekać na sąd malarza?... Do klasztoru niech idzie, kto od nas chce się uczyć dopiero, co jest pięknem! Jako malarz to tylko mogę księciu powiedzieć, że jedném z najszczęśliwszych wydarzeń mego życia jest to, że Emilia Galotti siedziała mi do portretu. Ta głowa, te lica, to czoło, te oczy, ten nos, te usta, ten podbródek, ta szyja, ta pierś, ten wzrost, ta cała budowa, będą od tego czasu jedyném mojem studyum piękności kobiecej.

Płótno, do którego siedziała, otrzymał nieobecny jój ojciec. Ta zaś kopia...

Książę (*zwraca się szybko do niego*). Co Conti? wszakże jeszcze nie zamówiona?...

Conti. Jest dla księcia, jeżeli książę znajdziesz w niej upodobanie.

Książę. Upodobanie! (*Z uśmiechem*.) Cóż mogę lepszego zrobić, Conti, z tém twojém studyum piękności kobiecej, jak uczynić je przedmiotem moich studyów?... Tamten portret zabierz z sobą, by do niego ramy zamówić...

Conti. Dobrze!

Książę. Tak piękne i tak bogate, jak tylko snycerz będzie umiał zrobić... Będzie umieszczonym w galerii... Ale ten — pozostanie tutaj. Z takiém studyum nie robi się wielkich ceremonij, nie wie-sza się go nawet, ale chętnie bierze się je do ręki... Dziękuję ci, Conti, dziękuję ci bardzo... I jak powiedziałem, w mojem państwie sztuka nie potrzebuje troszczyć się o chleb, dopóki mnie go nie za-braknie. Poślij, Conti, do mojego skarbnika, i każ sobie za swojém pokwitowaniem za oba portrety zapłacić... ile chcesz. Tyle, ile chcesz, Conti!

Conti. Obawiam się, mości książę, czy téj hojności co innego, a nie sztuka nie jest przedmiotem.

Książę. O zazdrośni artyści!... Ależ nie!... Słyszysz, Conti? ile chcesz! (*Conti wychodzi*.)

SCENA V.

KSIĄŻĘ (*sam*).

Ile chce! (*Do obrazu*.) Za jakąkolwiek cenę, będę cię miał zawsze jeszcze zbyt tanio... A! piękne dzieło sztuki! czy to prawda, że jesteś mojem?... Gdybym i ciebie mógł posiadać także, piękne dzieło natury!... Ile chcesz za to, pocziwa matko?... Ile chcesz, stary mruku?... Zażądaj tylko! zażądajcie!... Najchętniej kupiłbym ciebie, czarodziejkę, od ciebie saméj!... To oko pełne uroku i skro-mności!... Te usta!... a gdy się otworzą! gdy się uśmiechną!... Te usta!... Ktoś nadchodzi... Jeszcze jestem o ciebie zbyt zazdrosny. (*Odwraca portret do ściany*.) To zapewne Marinelli. Pocóżem kazał posyłać po niego! Jakiżbym miał piękny ranek!... (*Wchodzi Mari-nelli*.)

S C E N A VI.

MARINELLI, KSIĄŻĘ.

Marinelli. Racz mi wybaczyć, dostojny panie. Nie spodziewałem się tak wczesnego rozkazu.

Książę. Przyszła mi ochota przejechać się. Poranek był tak piękny... Ale czas odpowiedni już wkrótce przeminie, a chęć mnie odeszła. (*Po krótkim milczeniu.*) Cóż tam nowego, Marinelli?...

Marinelli. Nic ważnego, o ile mi wiadomo... Hrabina Orsina wczoraj przyjechała do miasta.

Książę. Leży tam już jej dzień dobry... (*Wskazuje na list.*) lub może co innego... Nie jestem tego wcale ciekawy... Czy mówiłeś z nią?...

Marinelli. Czyż nie jestem jej powiernikiem, niestety?... Jeżeli jednak zdarzy mi się raz jeszcze posiadać zaufanie jakiejś damy, kochającej szczerze waszą księżęcą mość, to...

Książę. Nie zarzekaj się niczego, Marinelli!

Marinelli. Czy tak? Doprawdy, książę? Mogłoby przyjść do tego? O! w takim razie hrabina może miała słuszość...

Książę. W żadnym razie nie miała!... Bliskie moje zaślubiny z księżniczką Massa wymagają koniecznie, abym przedewszystkiem zerwał wszelkie podobne stosunki.

Marinelli. Gdyby szło tylko o to, to zaprawdę Orsina musiałaby się tak samo pogodzić ze swoim losem, jak wasza księżęcą mość ze swoim.

Książę. A mój jest niezawodnie przykrzejszy, niż jej. Serce moje pada ofiarą nędznego interesu państwa. Ona swojemu musi wprowadzić nakazać milczenie, ale nie jest zmuszoną oddawać go wbrew swojej woli.

Marinelli. Nakazać milczenie?... Hrabina pyta, dlaczego nakazywać milczenie, jeżeli idzie tutaj tylko o żonę, którą księciu daje nie miłość, lecz polityka? Obok takiej małżonki, kochanka zawsze jest pewną swego miejsca. Nie obawia się też o to, byś ją książę poświęcił takiej żonie, tylko...

Książę. Nowej kochance?... Cóż ztąd? Czybyś mi to poczytał za zbrodnię, Marinelli?

Marinelli. Ja?... O! nie bierz mnie, książę, za jedno z szalonych, której słowa powtarzam ze współczucia. Bo wczoraj doprawdy szczególnie mnie rozrzewniła. Miała zamiar nie mówić wcale o sobie z waszą księżęcą mością. Chciała się okazać zupełnie spokojną i zimną. Ale w najobojętniejszej rozmowie wyrwały się jej raz po raz rozmaite zwroty i alluzye, które udęczenie jej serca zdradzały.

Z wesołą miną mówiła najmelancholiczniejsze rzeczy, a najsmieszniejsze facecye z pełnym powagi wyrazem twarzy. Zaczęła szukać pociechy w książkach, i obawiam się, żeby one nie zadały jej ostatniego ciosu.

Książę. Tak, jak zadały pierwszy biednemu jej rozumowi... Spodziewam się jednak, Marinelli, że nie będziesz mnie usiłował do niej powrócić za pomocą tego, co mnie głównie od niej odstreczyło. Jeżeli waryuje z miłości, to byłaby prędzej lub później i bez miłości zwaryowała... No, dosyć już o niej... Mówmy o czém inném! Czy nic się nie dzieje w mieście?

Marinelli. Tak prawie jakby nic... Bo to, że związek małżeński hrabiego Appianiego ma być dzisiaj zawarty, znaczy niewiele więcej, niż nic.

Książę. Hrabiego Appianiego? z kimże to?... Nie wiedziałem nawet, że był zaręczony.

Marinelli. Rzeczę tę trzymano w wielkiej tajemnicy. I niebardzo też było o czém gadać... Roześmiejesz się, mości książę, ale to tak bywa zapaleńcom! Miłość płata im zwykłe najgorsze figle. Dziewczyna bez majątku i bez znaczenia umiała go opłacać w swoje sieci, trochę pięknoscią, a jeszcze więcej paradą cnoty, uczucia, dowcipu i nie wiem czego tam jeszcze.

Książę. Kto się bezwzględnie zdaje na wrażenie, jakie na nim czyni niewinność i piękność, temu, mojem zdaniem, należałoby prędzej zazdrościć, niż wysmiewać się z niego... I jakże się zowie ta szczęśliwa?... Gdyż bądź co bądź, Appiani jest... wiem o tém, że go nie cierpisz, Marinelli, podobnie jak i on ciebie... bądź co bądź, Appiani jest bardzo godnym młodzieńcem, pięknym mężczyzną, bogatym i honorowym człowiekiem. Bardzobym pragnął zobowiązać go sobie. Pomyślę o tém jeszcze.

Marinelli. Jeżeli nie będzie zapóźno... Bo o ile słyszałem, nie jest jego zamiarem szukać szczęścia na dworze... Zamyśla się udać z władczynią swego serca do swoich majątności w Piemoncie... będzie tam polował na dzikie kozy i obłaskawiał bobaki... I cóż mógłby lepszego robić? Tutaj, skutkiem niestosownego związku, jaki zawiera, już dla niego wszystko skończone. Najpierwsze domy będą przed nim zamknięte.

Książę. Daj mi pokój z twemi najpierwszemi domami, w których sztywna etykieta, przymus, nuda, a nieraz i niedostatek panuje... Ale powiedzże mi nareszcie, któż jest ta, dla której Appiani naraża się na tak wielką ofiarę?

Marinelli. Jest to niejaka Emilia Galotti...

Książę. Co, Marinelli? Niejaka...

Marinelli. Emilia Galotti.

Książę. Emilia Galotti?... Nigdy!

Marinelli. Niezawodnie, dostojny panie.

Książę. Nie, powiadam, nie, to nie może być... Mylisz się co do imienia... Ród Galottich jest liczny... Jakaś Galotti, może, ale nie Emilia Galotti, nie Emilia!

Marinelli. Emilia... Emilia Galotti!

Książę. A więc jest jeszcze jedna tegoż imienia i nazwiska... Powiedziałeś przytém: niejaka Emilia Galotti... niejaka... O prawdziwej tylko głupiec mógłby się tak wyrazić.

Marinelli. Wasza książęca mość unosisz się.. czy książę zna tę Emilie?

Książę. Do mnie należy pytać się, Marinelli, nie do ciebie... Emilia Galotti?... Córka pułkownika Galotti z pod Sabionetty?

Marinelli. Ta sama.

Książę. Która tu z matką mieszka w Gwastalli?

Marinelli. Ta sama.

Książę. Niedaleko kościoła Wszystkich Świętych?...

Marinelli. Ta sama.

Książę. Jedném słowem... (*Porywa portret i daje go do rąk Marinellemu.*) No, czy ta? Ta Emilia Galotti? Powiedz twoje przekłe „ta sama” i wbij mi sztylet w serce.

Marinelli. Ta sama.

Książę. Kacie!... ta?... ta Emilia Galotti będzie dzisiaj...

Marinelli. Hrabina Appiani!... (*Książę wyrzywa mu z ręki obraz i odrzuca go na stronę.*) Wesele odbędzie się cicho w wiejskiej posiadłości pod Sabionetta. Około południa pojedzie tam matka, córka, hrabia i zapewne jeszcze kilku przyjaciół...

Książę (*padając z rozpaczą na krzesło*). A więc jestem zgubiony!... Pocóż mam żyć?...

Marinelli. Co ci jest, dostojny panie?

Książę (*zrywając się*). Zdrajco!... co mi jest?... Oto kocham ją, ubóstwiam ją. Mogliście o tém wiedzieć! mogliście o tém wiedzieć oddawna wy wszyscy, którym się zdawało, że na wieki pozostanę w niegodnych pętach tej waryatki Orsiny!... Ale żeś ty, Marinelli, ty, któryś mnie tyle razy zapewniał o swojej najgorętszej przyjaźni!... O! kto jest księciem, nie ma przyjaciela! nie może mieć przyjaciela!... że ty, ty, tak zdradliwie, tak podstępnie ukrywałeś przedemną aż do tej chwili niebezpieczeństwo, które zagrażało mojej miłości... jeżeli ja ci to kiedykolwiek przebaczę, to żaden z grzechów moich niech mi nie będzie odpuszczony!...

Marinelli. Nie potrafiłbym znaleźć wyrazów, mości książę... gdybyś mi nawet do słowa pozwolił... na wyrażenie mego zdziwienia... Książę kochasz Emilię Galotti?... A więc przysięga za

przysięgę. Jeżeli choć cokolwiek wiedziałem o tej miłości, jeżeli się czegokolwiek domyślał, to niech o mnie ani aniołowie, ani Święci Pańscy nie wiedzą!... Tak samo mógłbym przysiąc o hrabinie Orsina. Podejrzenia jej zwracały się w zupełnie inną stronę.

Książę. A więc przebac mi, Marinelli (*rzuca mu się w objęcia*), i żałuj mnie!

Marinelli. Otóż, mości książę, możesz teraz poznać skutki swojej skrytości! „Książęta nie mają przyjaciół, nie mogą mieć przyjaciół!” A cóż jest tego przyczyną?... Bo ich mieć nie chcą. Dziś zaszczycają nas swém zaufaniem, zwierają się przed nami z najtajniejszych swoich życzeń, otwierają nam całą duszę, a jutro jesteśmy znów dla nich tak obcymi, jakby nigdy do nas nie przemówili ani słowa.

Książę. Tak, Marinelli, ale jakże mogłem tobie powierzyć to, co sam przed sobą zaledwie wyznać śmiałem?

Marinelli. A zatem i przed tą, która wzbudziła to uczucie, nie wyznałeś go książę?

Książę. Przed nią? Wszystkie moje starania, ażeby z nią mówić powtórnie, były daremne.

Marinelli. A za pierwszym razem?

Książę. Mówiłem z nią... Oh! odchodzę od zmysłów! I cóż ci mam długo opowiadać? Widzisz, że mnie pochłaniają fale... pocóż się dopytujesz, jak się w ich nurt dostałem? Ratuj mnie, jeśli możesz, a potem pytaj.

Marinelli. Ratować?... cóż w tém jest tak wielkiego do ratowania? To, czegoś, dostojny panie, zaniedbał wyznać Emilii Galotti, wyznasz teraz hrabinie Appiani. Towary, których nie można kupić z pierwszej ręki, kupuje się z drugiej... i takie towary z drugiej ręki są częstokroć tańsze...

Książę. Poważnie, Marinelli, poważnie, bo...

Marinelli. Chociaż wprawdzie o tyleż gorsze...

Książę. Jesteś bezczelny!

Marinelli. A przytém hrabia chce ze swoim towarem wyjechać na wieś. Tak, trzeba pomyśleć o czém inném.

Książę. A o czém? Kochany, najdroższy Marinelli, myśl za mnie... Cobyś uczynił, gdybyś był na mojem miejscu?

Marinelli. Przedewszystkiem drobnostkę traktowałbym jako drobnostkę... i powiedziałbym sobie, że nie powinienem być napróżno tém, czém jestem — panem!

Książę. Nie pochlebiaj mi władzą, dla której tu nie widzę żadnego zastosowania... Mówisz więc, że dzisiaj? już dzisiaj?

Marinelli. Dopiero dzisiaj ma to nastąpić... A tylko na rzeczy

spełnione nie ma rady... (*Po krótkim namyśle.*) Czy chcesz, książę, dać mi wolność działania? Czy zaakceptujesz wszystko co zrobię?

Książę. Wszystko, Marinelli, wszystko, co tylko ten cios odwrócić może.

Marinelli. A zatem nie traćmy czasu... Lecz nie zostawaj książę w mieście. Najlepiej będzie pojechać do zamku Dosalo. Droga do Sabionetty prowadzi tamtędy. Gdyby mi się udało hrabiego oddalić na chwilę, to sądzę... Ale, ale, myślę, że się w tę łapkę schwyci z pewnością. Wszak książę chcesz wysłać posła do Massa w sprawie swojego małżeństwa? Niechże hrabia będzie tym posłem, z warunkiem, żeby wyjechał dziś jeszcze. Czy zgoda?

Książę. Doskonale!... Przyślij go do mnie. Idź, śpiesz. Natychmiast siadam do powozu. (*Marinelli wychodzi.*)

SCENA VII.

KSIĄŻĘ (*sam*).

Zaraz! zaraz!... Gdzież on jest? (*Ogląda się za portretem.*) Na ziemi? Oh! to było zbyt okrutnie! (*podnosi go*). Ale patrzeć, patrzeć na ciebie teraz jeszcze nie mogę. Pocóż mam strzałę jeszcze bardziej w ranie zagłębiać? (*Stawia portret na stronie.*) Natęskniłem się i nawzdychałem już dosyć, dłużej niż byłem powinien, ale nic nie robiłem, i w skutek tej czulej bezczynności, o włos, że wszystko nie przepadło!... A jeżeli już wszystko stracone? jeżeli Marinelli nie nie wskóra?... Dlaczegoż mam się zdać na niego samego? Zdaje mi się, że o tej godzinie (*patrzy na zegar*), tak, właśnie o tej godzinie pobożne dziewczę ma zwyczaj co rano słuchać mszy u Dominikanów. Co? a gdybym tam spróbował z nią mówić?... Tylko dziś, dziś, w dniu swego wesela, musi mieć inne rzeczy na myśli, a nie mszę... Zresztą któż wie?... Nie zaszkodzi pójść. (*Zebrawszy z biurka niektóre papiery, dzwoni; wchodzi służący.*) Każ zajeżdżać!... Czy jeszcze nie ma żadnego z radców?

Służący. Kamillo Rota.

Książę. Niech tu przyjdzie. (*Służący wychodzi.*) Tylko niech się nie spodziewa mnie przetrzymać. Na drugi raz będę mu dłużej służył... Była tu prośba jakiejś Emilii Bruneschi... (*Szuka jęj.*) Ale poczeiwa Bruneschi, gdzie twoja orędowniczka?... (*Wchodzi Kamillo Rota z papierami w ręku.*)

S C E N A VIII.

KAMILLO ROTA, KSIĄŻĘ.

Książę. Chodź, Rota, chodź... Masz tu, co odrobiłem dzisiaj rano... Nic pocieszającego! Sam zobaczysz, co w tych sprawach rozporządzić... Weź tylko...

Kamillo Rota. Dobrze, dostojny panie.

Książę. Jest tu jeszcze prośba jakiegś Emilii Galot... Bruneschi. Napisałem już wprawdzie moje przyzwolenie... ale... idzie tu o drobnostkę... Każ jeszcze zawiesić wykonanie... albo nie zawieszać, według twój woli.

Kamillo Rota. Nie według mojej, dostojny panie.

Książę. Cóż tam jeszcze? coś do podpisania?

Kamillo Rota. Byłby do podpisania wyrok śmierci.

Książę. Z przyjemnością!... dawaj! prędko!

Kamillo Rota (*waha się i wpatruje w niego*). Wyrok śmierci, mości książę.

Książę. Słyszałem dobrze... byłbym już podpisał... śpieszy mi się...

Kamillo Rota (*patrząc w papiery*). Otóż pokazuje się, że go nie wziąłem z sobą!... Racz wybaczyć, dostojny panie!... Można to odłożyć do jutra.

Książę. I to także!... Zbierz to wszystko razem... Jutro dłużej, Rota... (*Wychodzi.*)

Kamillo Rota (*kiwając głową zbiera papiery*). Z przyjemnością!... wyrok śmierci z przyjemnością?... Nie mógłbym dać mu go do podpisu w tej chwili, gdyby tu szło nawet o mordercę mojego jedyne go syna!... Z przyjemnością! z przyjemnością!... Mrozem mnie przejmie to szkaradne: z przyjemnością!... (*Wychodzi.*)

A K T II.

Sala w domu Galottich.

S C E N A I.

KLAUDYA GALOTTI, PIRRO.

Klaudia (*wychodząc, do wchodzącego z drugiej strony Pirra*). Któż to przyjechał konno na podwórze?

Pirro. Nasz pan, proszę pani.

Klaudia. Mój mąż? czy podobna?

Pirro. Idzie tu właśnie.

Klaudia. Tak niespodzianie? (*Biegąc naprzeciw niego.*) Ah! najdroższy!... (*Wchodzi Odoardo.*)

SCENA II.

CIŻ SAMI, ODOARDO.

Odoardo. Dzień dobry, moja droga!... Prawda, że ci zrobiłem niespodziankę?...

Klaudia. I nie mogłeś zrobić przyjemniejszej! Jeżeli to zresztą ma być tylko niespodzianka.

Odoardo. Nic innego, bądź spokojną. Szczęście, które ma nam przynieść dzień dzisiejszy, obudziło mnie wcześniej; poranek był tak piękny, droga tak niedaleka, domyślałem się, że tu macie tyle zajęć... Przyszło mi na myśl, że możecie łatwo czego zapomnieć... Jednym słowem, przyjechałem zobaczyć i odjeżdżam zaraz z powrotem. Gdzież jest Emilia? zapewne zajęta swoim ubraniem?

Klaudia. Zajęta duszą swoją!... Jest na mszy... „Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek winnam błagać nieba o łaskę”, powiedziała, zostawiła wszystko, wzięła zasłonę i poszła...

Odoardo. Sama?

Klaudia. Kilka kroków tylko.

Odoardo. Jednego dosyć, aby zboczyć z właściwej drogi.

Klaudia. Nie gniewaj się, mój najdroższy, i pójdz dalej, wypocząć chwilę i ochłodzić się czém.

Odoardo. I owszem, Klaudio... Nie powinna jednak była iść sama.

Klaudia. A ty, Pirro, pozostań w przedpokoju i odpowiadaj, gdyby kto chciał nas odwiedzić. (*Wychodzą.*)

SCENA III.

PIRRO, później ANGELO.

Pirro. Tych, co tylko przez ciekawość przychodzą... Iluż ich dzisiaj nie wypytywało się mnie o wszystko!... Ale któż tam nadchodzi?

Angelo (*jeszcze w połowie za sceną, w krótkim płaszczu nasuniętym na twarz i w kapeluszu na głowie*). Pirro! Pirro!

Pirro. Ktoś znajomy... (*Angelo wchodzi i odstawia twarz*.) Nieba! Angelo?... To ty?...

Angelo. Jak widzisz, ja... Chodziłem dosyć długo koło domu, aby z tobą pomówić... Słówek tylko!

Pirro. I ty masz odwagę znowu pokazywać się na świat? Od ostatniego morderstwa jesteś wyjęty z pod prawa... wyznaczono nagrodę na twoją głowę.

Angelo. Ty jednak nie zechcesz jęj zarobić?

Pirro. Cóż znowu?... Proszę cię tylko, nie rób mnie nieszczęśliwym.

Angelo. Czy za pomocą tego? (*Pokazuje mu sakiewkę z pieniędzmi*.) Weź ją... jest twoja!

Pirro. Moja?

Angelo. Zapomniałeś?... Niemiec, twój dawny pan...

Pirro. Pst! milcz o tém!

Angelo. Którego nam na drodze do Pizy wprowadziłeś w zasadzkę. Był tak dobry, że nam pozostawił kosztowny pierścień... Czy nie wiesz o tém? Pierścień ten był zbyt drogi, żebyśmy go zaraz bez wzbudzenia podejrzeń mogli spieniężyć. Nakoniec udało mi się to zrobić. Dostałem za niego sto pistoli. Oto jest twoja część. Masz!

Pirro. Nie chcę nic, zabierzcie wszystko.

Angelo. Mniejsza o to!... jeżeli ci się podobało narażać swoją głowę za darmo. (*Chce schować sakiewkę do kieszeni*.)

Pirro. No, to już daj! (*Bierze*.) I cóż tam jeszcze? Bo, żebyś tylko dlatego mnie szukał...

Angelo. To ci się nie zdaje prawdopodobnym? Hultaju! cóż to ty myślisz o nas? że zdolni bylibyśmy pozbawić kogoś tego, co sobie zarobił? Taka moda może być pomiędzy tak zwanymi uczciwymi ludźmi, ale nie u nas... Bądź zdrow! (*Robi parę kroków do wyjścia, potem wraca*.) O jedną rzecz jednak muszę się ciebie spytać... Stary Galotti przyjechał konno do miasta. Czego tu chce?

Pirro. Nic nie chce... prosta przejażdżka. Córka jego dziś wieczór w majętności, z której przybywa, ma wziąć ślub z brabią Appianim.. Nudziło mu się czekać...

Angelo. I odjeżdża zaraz z powrotem?

Pirro. Zaraz... zastanie cię tu nawet, jeżeli dłużej zwłóczyć będziesz z odejściem. Ale przecież nie masz względem niego żadnych zamiarów? Strzeż się... jest to człowiek...

Angelo. Czyż ja go nie znam?... czyż nie służyłem pod nim?...

Gdyby jednak było się czém obłować? .. Kiedyż państwo młodzi wyjadą?...

Pirro. Koło południa.

Angelo. W licznym orszaku?

Pirro. Jednym powozem matka, córka i hrabia. Za świadków będą przyjaciele z Sabionetty.

Angelo. A służących?

Pirro. Tylko dwóch, oprócz mnie, który konno pojedzie naprzód.

Angelo. To dobrze... Jeszcze jedno... czyj powóz? wasz czy hrabiego?

Pirro. Hrabiego.

Angelo. Żle! jest przy nim jeszcze jeden masztalerz oprócz woźnicy. Jednak...

Pirro. Dziwię się... Ale cóż ty myślisz?... Te trochę klejnotów, które panna młoda będzie miała na sobie, nie opłaciłyby zachodu...

Angelo. Więc go opłaci sama panna młoda!

Pirro. Więc i téj zbrodni także ja mam być współnikiem?

Angelo. Jedziesz naprzód... jedź tylko, jedź, a nie oglądaj się!

Pirro. Nigdy!

Angelo. Co?... zdaje mi się doprawdy, że chcesz udawać uczciwego... Chłopcze! spodziewam się, że mnie znasz... Jeżeli się wygadasz, jeżeli cokolwiek odbędzie się inaczej, jak mi powiedziałeś...

Pirro. Ależ, Angelo, przez Boga!...

Angelo. Rób to, od czego wymówić się nie możesz! (*Wychodzi.*)

Pirro. Ha! daj się diabłu złapać za jeden włos, to już do niego należysz na wieki! Ja nieszczęśliwy! (*Wchodzi Odoardo i Klaudia.*)

SCENA IV.

ODOARDO, KLAUDYA, PIRRO.

Odoardo. Coś mi ona bawi za długo...

Klaudia. Jeszcze chwilę, Odoardo... Przykro jej będzie, że cię nie widziała.

Odoardo. Muszę jeszcze rozmówić się z hrabią. Nie mogę się doczekać chwili, w której tego zacnego młodzieńca nazwę mym synem. Wszystko mnie w nim zachwyca. A przede wszystkim zamiar, żeby żyć w zaciszu, na roli dziedzicznej.

Klaudia. Serce mi pęka, gdy o tém pomyślę... Zupełnie zatem utracimy naszą jedyną, ukochaną córkę.

Odoardo. Co nazywasz utraceniem? czy to, że będziemy wie-

dzieli, iż jest w objęciach miłości? Nie bierz za jedno własnego zadowolenia i jej szczęścia... Gotowaś wzbudzić moje dawne podejrzenie, że bardziej dla wrzawy i rozrywek światowych, bardziej dla bliskości dworu, niż z konieczności dania naszemu dziecku odpowiedniego wychowania, zostałaś z nią w mieście... daleko od męża i ojca, który was tak serdecznie kocha.

Klaudia. niesprawiedliwy jesteś, Odoardo! Pozwól mi jednak dzisiaj powiedzieć jedno tylko słówko w obronie tego miasta i tej bliskości dworu, którym twoja surowa cnota tak się brzydzi. Tutaj, tylko tutaj mogła miłość połączyć tych dwoje młodych, co dla siebie byli stworzeni. Tutaj tylko hrabia mógł znaleźć Emilię i znalazł ją.

Odoardo. Przyznaję. Ale, kochana Klaudio, czy to dowodzi, że masz słuszość, ponieważ rezultat jest pomyślny? To dobrze, że się z tém miejskiem wychowaniem tak skończyło!... Ci, którzy dla siebie byli przeznaczeni, znaleźli się; niechże się teraz usuną tam, gdzie niewinność i spokój ich wzywa... Cóż hrabia robiłby tutaj?... Musiałby się uginać, pochlebiać i starać się wygryźć Marinello, aby w końcu zrobić karierę, która mu jest niepotrzebną... aby w końcu dostąpić zaszczytów, które dla niego nie mają znaczenia... **Pirro!**

Pirro. Jestem, panie.

Odoardo. Idź odprowadź mego konia przed dom hrabiego. Zaraz tam przyjdę i za chwilę odjadę. (*Pirro wychodzi.*) Dlaczego hrabia tutaj ma służyć, kiedy tam może rozkazywać? Przypomnij, Klaudio, że żeniąc się z naszą córką, hrabia zupełnie zrywa z księciem. Książę mnie nienawidzi...

Klaudia. Może mniej, niż się tego obawiasz.

Odoardo. Obawiam się? czyż ja się obawiam tego?

Klaudia. Bo mówiłam ci przecież, że książę widział naszą córkę.

Odoardo. Książę? gdzież to?

Klaudia. Na ostatniem zebraniu wieczorném u kanclerza Grimaldi, które obecnością swoją zaszczycił. Okazał się względem niej tak łaskawym.

Odoardo. Tak łaskawym?

Klaudia. Rozmawiał z nią tak długo...

Odoardo. Rozmawiał z nią?...

Klaudia. Zdawał się jej żywością i dowcipem tak zachwycony...

Odoardo. Tak zachwycony?...

Klaudia. Mówił o jej piękności z takimi pochwałami...

Odoardo. Z pochwałami? I ty to wszystko opowiadasz mi to-nem zachwyty? O Klaudio! Klaudio! próżna, nierozsądna matka!...

Klaudia. Jakto?

Odoardo. Dobrze już, dobrze! I to się dobrze skończyło... Ha!

gdy pomyślę, że... To właśnie byłoby miejsce, w które najśmiertelniej zranić mnie można! Rozpustnik gdy podziwia, pożąda... Klaudyo! Klaudyo! sama myśl o tém wprowadza mnie w wściekłość... Powinnaś była zaraz mnie o tém zawiadomić... Jednakże nie chciałbym dzisiaj powiedzieć ci czegoś nieprzyjemnego... A musiałbym (*ściskając ją za rękę*), gdybym pozostał dłużej... Więc puść mnie!... puść mnie!... Niech cię Bóg ma w opiece, Klaudyo! Przyjeżdżajcie szczęśliwie! (*Wychodzi.*)

SCENA V.

KLAUDYA (*sama*).

. Co za człowiek!... O! surowa cnota!... jeśli to tylko zasługuje na imię cnoty... Wszystko wydaje mu się podejrzanem, wszystko karygodnem!... A! jeżeli to się ma nazywać znajomością ludzi... to któżby pragnął ich poznawać?... Gdzież to jednak bawi Emilia?... Jest on nieprzyjacielem ojca, a zatem... a zatem, jeżeli córka wpadła mu w oko, to już koniecznie dlatego, aby go znieważyć? (*Emilia wbiega przestraszona i pomięszana.*)

SCENA VI.

EMILIA, KLAUDYA.

Emilia. Szczęście moje! szczęście moje! teraz jestem bezpieczna!... A może on przyszedł za mną? (*Odrzuca zasłonę i mówi do matki, spostrzegając ją.*) Czy on tu jest, moja matko? czy on tu jest? Nie ma go, dzięki Niebu!

Klaudia. Co ci jest, moja córko? co ci jest?

Emilia. Nic, nic...

Klaudia. A tak dziko spoglądasz dokoła siebie i drżysz cała?...

Emilia. Czegożem ja musiała wysłuchać! i gdzie, gdzie musiałam tego słuchać!...

Klaudia. Sądziłam, że byłaś w kościele...

Emilia. Tam właśnie!... Cóż dla występku znaczy ołtarz i kościół?... Ah! moja matko! (*Rzuca się w jej objęcia.*)

Klaudia. Mów, moja córko! uspokój-mój przestrach! Cóż złego mogło cię spotkać w świętém miejscu?

Emilia. Nigdy modlitwa moja nie powinna była być gorętszą

i zarliwszą, jak dzisiaj, i nigdy nie była bardziej roztargnioną, jak dziś właśnie.

Kladya. Jesteśmy ludźmi, Emilio. Dar modlitwy nie zawsze jest w naszej mocy. Chęć modlenia się jest w obec nieba także modlitwą.

Emilia. A chęć grzechu jest także grzechem.

Kladya. Tę chęci moja Emilia nie miała.

Emilia. Nie, moja matko... tak nisko łaska boża upaść mi nie pozwoliła... Ale występki cudzy może wbrew woli naszej uczynić nas współwinnymi!

Kladya. Przyjdź do siebie!... Zbierz, o ile możesz, twe myśli... Powiedz mi wyraźnie, co ci się stało?

Emilia. Zaledwie uklękłam... dalej od ołtarza, niż mam zwyczaj... bo przyszłam zapóźno... zaledwie myśl moja zaczęła się wznosić do Stwórcy... gdy tuż za mną jakaś osoba zajęła miejsce... Tuż, zaraz za mną... Nie mogłam usunąć się ani na stronę, ani naprzód, jakkolwiek zrobić to chciałam, z obawy, że cudza modlitwa w mojej przeszkadzać mi będzie... Modlitwa! tego się tylko obawiałam... Wkrótce jednak potem usłyszałam tuż przy mém uchu... po głębokim westchnieniu... nie imię jakiego świętego... lecz imię. . nie gniewaj się matko... imię twój córki!... Moje imię!... O! że grom z nieba nie przeszkodził mi słyszeć więcej!... Mówił o piękności, o miłości... Skarżył się, że ten dzień, który ma być początkiem mego szczęścia, dla niego wyrok wiecznego nieszczęścia wyrzecz. Zaklinał mnie... Ja musiałam słuchać tego wszystkiego... Ale nie oglądałam się, udawałam jakbym nic nie słyszała... Cóż mogłam począć więcej? Prosić mego anioła stróża, aby mnie dotknął głuchotą, choćby nawet na zawsze. Modliłam się o to, i o nic więcej modlić się nie mogłam... Nareszcie przyszła chwila powstania... Nabożeństwo skończyło się. Lękałam się odwrócić. Drżałam na myśl zobaczenia tego, kto się dopuścił tej zbrodni. A gdym się obróciła i gdym go spostrzegła...

Kladya. Kogo, moja córko?

Emilia. Zgadnij, matko moja, zgadnij... Myślałam, że się w ziemię zapadnę... Jego samego.

Kladya. Ależ kogo?

Emilia. Księcia.

Kladya. Księcia!... O! niech będzie błogosławioną niecierpliwosć twego ojca, który tutaj był i nie chciał czekać na ciebie!

Emilia. Ojciec był tutaj?... i nie chciał na mnie zaczekać?...

Kladya. Gdybyś w twém pomieszaniu była to przy nim opowiedziała!

Emilia. Więc cóż, moja matko?... Cóżby mógł znaleźć zdrożnego w mojem postępowaniu?...

Klaudia. Nic... również jak w mojem. A jednak, jednak... Ha! ty nie znasz twojego ojca!... W gniewie swoim niewinnej ofiary występku nie odróżniałby od przestępcy... W zapamiętaniu jego zdawałoby mu się, że ją spowodowała to, czemu ani przeszkodzić nie byłam w stanie, ani czego przewidzieć nie mogłam... Ale mów dalej, moje dziecko, mów dalej!... Gdys księcia poznała... Spodziewam się, żeś dosyć panowała nad sobą, ażeby mu jednem spojrzaniem okazać całą pogardę, na jaką zasłużył.

Emilia. Nie miałam dosyć siły, matko! Po spojrzaniu, które mi go poznać dało, nie miałam odwagi spojrzeć na niego po raz drugi... Uciekłam...

Klaudia. A książę za tobą?

Emilia. Nie wiedziałam o tém nawet, dopiero w przedśionku uczulałam się pochwyconą za rękę. Był to on! Ze wstydu musiałam stanąć; gdybym się wyrwała, byłoby to zwróciło uwagę przechodniów. Była to jedyna rzecz, nad którą się zastanowić byłam zdolną, lub też, którą w téj chwili sobie przypominam. On mówił, a jam mu odpowiadała. Ale co mówił i com mu odpowiadała... jeżeli mi się przypomni, to dobrze, to ci powtórzę, moja matko. Teraz z tego wszystkiego nie wiem nic. Zmysły straciłam. Napróżno chcę sobie przypomnieć, jak od niego odeszłam i wyszłam z przedśionka... Pamiętam resztę dopiero od chwili, gdy znów byłam na ulicy i słyszałam, że idzie za mną, że wchodzi za mną do domu i na schody...

Klaudia. Przestrach ma swoje własne zmysły, moja córko!... Nie zapomnę nigdy, z jaką miną wpadłaś tutaj. Nie, tak daleko on się nie posunął, ażeby aż szedł za tobą. Boże! Boże! gdyby to twój ojciec wiedział!... Jak on się rozgniewał, gdy usłyszał, że książę niedawno nie bez upodobania patrzył na ciebie. Zresztą, bądź spokojną, moja córko! Uważaj to, co cię spotkało, za sen. I następstw też to mieć nie będzie większych, niż sen. Dziś unikniesz stanowczo wszelkiej natarczywości.

Emilia. Nieprawdaż jednak, moja matko, że hrabia powinien o tém wiedzieć? Jemu powinienam to opowiedzieć.

Klaudia. Za nic w świecie! Poco? dlaczego? Chcesz go za niepokoić niczém, poprostu niczém? A gdyby nawet teraz nie okazał niepokoju, wiedz o tém, moje dziecko, że trucizna, która nie działa od razu, nie jest przez to mniej niebezpieczną. Co na kochanku nie robi żadnego wrażenia, może je zrobić na mężu. Kochankowi mogłoby to nawet pochwlebiać, że ubiegł tak potężnego rywala; ale gdy mu się to raz już udało, moje dziecko, czasem kochanek zmienia się w inną zupełnie istotę. Niech cię twoja szczęśliwa gwiazda strzeże, żebyś tego nie doświadczyła.

Emilia. Wiész, moja matko, jak chętnie się poddaję radom two-

jego doświadczenia i rozsądku. Ale jeżeli on się od innych dowie, że ksiązę dziś mówił zemną? Czy moje milczenie teraz lub później nie zwiększy jego niepokoju? Dlatego sądziłam, że lepiej nie mieć przed nim żadnej tajemnicy.

Klaudia. Słabość! słabość zakochanej dziewczyny! Nie, pod żadnym pozorem, moja córko! Nie mów mu nic. Nie daj mu się niczego domyślać.

Emilia. Dobrze, moja matko. Wola twoja jest moją... Ah! (*Z głębokim westchnieniem.*) Teraz jestem znowu lekka zupełnie... Jakież-to zemnie śmieszne, lękliwe stworzenie!... Nieprawdaż, matko? Mogłam się przecież znaleźć zupełnie inaczej i również nicbym sobie nie miała do wyrzucenia.

Klaudia. Nie chciałam ci tego mówić, moja córko; pragnęłam, żeby na to sam zdrowy twój rozsądek zwrócił uwagę. Wiedziałam, że on ci to rozjaśni, jak tylko przyjdiesz do siebie. Ksiązę jest grzeczny i nadskakujący kobietom. Za mało jesteś obeznana z językiem, jakiego używa galanterya. W mowie tej grzeczność wyraża się jak uczucie, pochlebstwo jak przysięga, upodobanie jak pragnienie, a pragnienie jak propozycja. Nic w tym języku brzmi tak jak wszystko, a wszystko znaczy tyle co nic.

Emilia. O moja matko!... Musiałam się więc wydać bardzo śmieszną przez ten mój przestrch!... Jeżeli tak, to mój drogi Appiani nie powinien nic o tém wiedzieć. Mógłby mnie łatwo wziąć nie-tyle za cnotliwą, jak za próżną... Oh! ale otóż i on nadchodzi! To jego chód! (*Wchodzi Appiani, głęboko zamyślony, ze spuszczonemi oczyma i postępuje naprzód, spostrzegając Emilię dopiero, gdy przybiega do niego.*)

SCENA VII.

TEŻ SAME, APPIANI.

Appiani. Ah! najdroższa!... Nie myślałem, że cię spotkam zaraz w sali wchodowej.

Emilia. Pragnęłabym, żebyś był weselszym, panie hrabio, nawet tam, gdzie się nie spodziewasz mnie spotkać... Taka uroczysta mina! taka powaga!... Czy dzień dzisiejszy nie wart weselszego usposobienia?

Appiani. Wart więcej, niż całe moje życie. Wróży on mi tyle szczęścia... być może jednak, że samo to szczęście czyni mnie tak poważnym, tak uroczystym jak powiadasz, najdroższa Emilio. (*Spo-*

strzegając matkę.) Ha! więc znajduję tutaj i panią... którą wkrótce będę mógł nazwać daleko słodsze imieniem!

Klaudia. Ono będzie dumą moją największą!... Jaka ty jesteś szczęśliwa, Emilio! Czemuż twój ojciec nie chciał wziąć udziału w naszej radości!

Appiani. Dopiero co zdołałem się wyrwać z jego objęć, albo raczej on z moich... Co to za człowiek, droga Emilio, ten twój ojciec! Wzór prawdziwie męzkich przymiotów! Jak wysoko w jego obecności nastraja się dusza moja! Postanowienie moje, żeby zawsze być dobrym, zawsze szlachetnym, nigdy nie jest silniejszym, jak wówczas, kiedy go widzę, kiedy sobie o nim pomyślę. I czémże inném mógłbym zasłużyć na zaszczyt nazywania się jego synem? na szczęście zostania twoim, moja Emilio?

Emilia. A jednak nie chciał na mnie zaczekać!

Appiani. Sądzę, że dlatego, iż widok córki w czasie tych chwilowych odwiedzin zanadto by go wzruszył i przejął.

Klaudia. Sądził, że jesteś zajęta swoim ślubnym ubraniem i dowiedział się...

Appiani. Tego, o czém z najtkliwszym uwielbieniem usłyszałem znowu od niego. Dobrześ uczyniła, moja Emilio... Będę miał z ciebie żonę pobożną, choć nie dumną ze swjej pobożności.

Klaudia. Ale, moje dzieci, robiąc jedno, nie należy zaniedbywać drugiego! Teraz już czas, trzeba się tém zająć, Emilio.

Appiani. Czém, łaskawa pani?

Klaudia. Przecież nie zechcesz, panie hrabio, tak jak jest teraz, zaprowadzić ją do ołtarza?

Appiani. Doprawdy, dopiero teraz to spostrzegłem. Któżby mógł, patrząc na ciebie, Emilio, patrzeć zarazem na twój strój?... Dlaczegoż nie miałyby zostać jak jest?

Emilia. Nie, drogi hrabio, nie tak, niezupełnie tak jak jestem. Ale nie o wiele wykwintniej, nie o wiele! Raz, dwa i jestem gotowa! Żadnych klejnotów, nic zupełnie z ostatniego daru twojej wspaniałości rozrzuć! Nie także takiego, co by tylko do tych klejnotów było odpowiedniem! Powinnabym się gniewać na te klejnoty, i gniewałabym się, gdyby nie od ciebie pochodziły. Bo już trzy razy śniło mi się o nich...

Klaudia. Co takiego? nie mówiłaś mi o tém...

Emilia. Śniło mi się, że mam je miała na sobie i że nagle każdy kamień zmieniał się w perłę. A perły, moja matko, znaczą łyżę.

Klaudia. Dziecko jesteś!... Znaczenie to tak samo nic nie znaczące, jak sen. Wszakże oddawna wołałaś zawsze perły, niż drogic kamienie.

Emilia. To prawda, moja matko, to prawda...

Appiani (*w zamyśleniu, smutnie*). Znaczą łyzy! znaczą łyzy!...

Emilia. Jakto? ciebie to zastanawia? ciebie?

Appiani. Tak jest, powinienbym się wstydzić... Gdy jednak wyobrażnia moja zwrócona raz do smutnych obrazów...

Emilia. Dlaczegoż do nich się zwraca? Domyślaj się, hrabio, jaki sobie plan ułożyłam? Co miałam na sobie, jak wyglądałam, gdy po raz pierwszy mnie zobaczyłeś? Czy pamiętasz jeszcze?

Appiani. Czy pamiętam? W myślach moich nigdy cię inną nie widzę, i wówczas nawet widzę cię taką, kiedyś ubrana inaczej...

Emilia. A zatem suknia tegoż koloru i tegoż kroju, powiewna i swobodna...

Appiani. Doskonale!

Emilia. A włosy..

Appiani. W swym własnym ciemnym blasku i w kędziarach, w jakie je ułożyła natura.

Emilia. A o róży we włosach nie zapominaj! Dobrze! dobrze! Chwilę cierpliwości, a stanę przed tobą w takim ubraniu. (*Wychodzi.*)

SCENA VIII.

APPIANI, KLAUDYA.

Appiani (*patrzy za nią przez chwilę, smutny*). Perły znaczą łyzy!... Chwilę cierpliwości?... Tak, gdyby czas istniał jedynie na zewnątrz nas!... Gdyby minuta na zegarze nie mogła zamienić się dla nas w całe lata!...

Klaudia. Emilia równie szybkie, jak trafne zrobiła spostrzeżenie. Poważniejszym jesteś, hrabio, dzisiaj, niż zwykle. Krok tylko jeden oddziela cię od celu twych życzeń... miałabyś żałować, panie hrabio, że swym życzeniom taki cel założyłeś?

Appiani. Ah! moja matko, czyż możesz podejrzewać twego syna?... To prawda jednak, że jestem dzisiaj niezwykle pomieszany i posępny. Zważ jednak, łaskawa pani, że mieć tylko krok jeden do celu, a wcale jeszcze nie puścić się w drogę, to jest w istocie rzeczy wszystko jedno. Wszystko co widzę, wszystko co słyszę, wszystko o czém marzę, przekonywa mnie od wczoraj i przedwczoraj o tój prawdzie. Ta myśl czepia się każdej innéj, którą się zająć powinienem albo pragnę... Co to jest? nie pojmuje zupełnie.

Klaudia. Przejmujesz mnie niepokojem, panie hrabio...

Appiani. Jedno łączy się z drugim!... Jestem zagniewany, zagniewany na mych przyjaciół, na siebie samego...

Klaudia. Jako?

Appiani. Moi przyjaciele wymagają bądź co bądź, żebym powiedział księciu chociaż słówko o mém małżeństwie, nim zostanie zawarte. Przyznają mi wprawdzie, że nie jestem do tego obowiązany, ale twierdzą, że szacunek mu należny wymaga tego... I byłem tyle słaby, żeś im to przyrzekł... Właśnie teraz chciałem jeszcze jechać do niego.

Klaudia (*pomięszana*). Do księcia? (*Wchodzi Pirro.*)

SCENA IX.

CIŻ SAMI, PIRRO, *później* MARINELLI.

Pirro. Łaskawa pani, margrabia Marinelli znajduje się przed domem i pyta o pana hrabiego.

Appiani. O mnie?

Pirro. Właśnie nadchodzi. (*Otwiera mu drzwi i wychodzi.*)

Marinelli. Proszę o przebaczenie, łaskawa pani. Panie hrabio, byłem u pana w domu i dowiedziałem się, że pana tutaj zastać można. Mam pilny interes do pana. Łaskawa pani, jeszcze raz przepraszam, idzie tylko o kilka minut...

Klaudia. Nie chcę przeszkadzać. (*Kłania mu się i wychodzi.*)

SCENA X.

MARINELLI, APPIANI.

Appiani. A zatem, panie?

Marinelli. Przychodzę od jego książęcej wysokości.

Appiani. Jakiż jest jego rozkaz?

Marinelli. Dumny jestem, że mnie wybrał za posłannika tak wielkiej łaski... I jeżeli hrabia Appiani nie upiera się koniecznie przy nieuznawaniu we mnie jednego z najbardziej wylanych swoich przyjaciół...

Appiani. Bez dalszych przedmów, jeżeli łaska.

Marinelli. I owszem... Książę potrzebuje wysłać zaraz pełnomocnika do księcia Massa, w sprawie swego małżeństwa z księżniczką, jego córką. Długo był niezdecydowany, kogo zamianować swym posłem. Nareszcie, panie hrabio, wybór jego padł na pana.

Appiani. Na mnie?

Marinelli. I to... jeżeli przyjaźni wolno być chępliwą... nie bez mojego przyczynienia się...

Appiani. Doprawdy, jestem w ambarasie, jak mam panu dziękować... Oddawna już nie spodziewałem się, że książę zapotrzebować mnie raczy...

Marinelli. Jestem przekonany, że mu tylko brakowało godnej pana sposobności. A gdyby i ta, jaka się nastąpiła, nie była godną takiego męża, jak hrabia Appiani, to zaprawdę moja przyjaźń chciała być zanadto usługą...

Appiani. Przyjaźń i przyjaźń co trzecie słowo! Z kimże ja rozmawiam doprawdy? O przyjaźni margrabiego Marinelli nigdy dotychczas nie marzyłem.

Marinelli. Przyznaję się do winy, panie hrabio, do nieprzebaczonej winy, że chciałem być pańskim przyjacielem bez pańskiego pozwolenia... Bądź co bądź jednak, cóż to szkodzi? Łaska księcia i zaszczyt, jaki pana spotyka, pozostaną tém czém są, a nie wątpię, że pan z całą gotowością z nich skorzystasz...

Appiani (*po niejakiem namyśle*). W istocie.

Marinelli. A zatem jedźmy.

Appiani. Dokąd?

Marinelli. Do Dosalo, do księcia... Wszystko jest już gotowe i musisz pan wyjechać dziś jeszcze.

Appiani. Co pan mówisz?... dziś jeszcze?

Marinelli. Lepiej nawet natychmiast, niż za godzinę. Sprawa jest niesłychanie pilna.

Appiani. Doprawdy?... a zatem przykro mi, że odmówić muszę przyjęcia tego zaszczytu.

Marinelli. Co?

Appiani. Nie mogę dziś wyjechać... ani jutro... ani pojutrze nawet...

Marinelli. Żartujesz pan, panie hrabio.

Appiani. Z pana?

Marinelli. Nieporównanie! A jeśli żart księcia się tyczy, to jest jeszcze zabawniejszy... Nie możesz pan wyjechać?

Appiani. Nie, panie, nie mogę. I spodziewam się, że książę sam uznać zechce moje powody.

Marinelli. Byłbym ciekawy je usłyszeć.

Appiani. O! to drobnostka! Widzisz pan, mam się ożenić dziś jeszcze.

Marinelli. I cóż z tego?

Appiani. Cóż z tego? cóż z tego? Pańskie pytanie jest przerażająco naiwne.

Marinelli. Bywały przykłady, panie hrabio, że odkładano dzień ślubu. Nie chcę wprawdzie twierdzić, żeby to zawsze było pożąda-



ném dla narzeczonój lub dla narzeczonego. Rzecz ta zapewne ma swoje nieprzyjemności. Zdaje mi się jednak, że rozkaz pana...

Appiani. Rozkaz pana? pana? Pan, którego sobie sami wybieramy, właściwie nie jest naszym panem. Pojmuję, że pan jesteś winien księciu bezwarunkowe posłuszeństwo. Ale nie ja. Przybyłem na dwór jego jako ochotnik. Chciałem mieć zaszczyt służenie mu, lecz nie być jego niewolnikiem. Jestem wassalem większego pana...

Marinelli. Większy, czy mniejszy, pan jest panem.

Appiani. Spierać się o to z panem nie myślę! Dosyć, powiedz pan księciu, co usłyszałeś: że przykro mi, iż nie mogę przyjąć jego łaski, albowiem właśnie zawieram związek, który całe moje szczęście stanowi.

Marinelli. Czy nie chciałbyś mi pan zarazem powiedzieć z kim?

Appiani. Z Emilią Galotti.

Marinelli. Z córką mieszkańców tego domu?

Appiani. Tego domu.

Marinelli. Hm! hm!

Appiani. Co pan mówisz?

Marinelli. Zdawałoby się, że tém mniej byłoby trudności z odłożeniem ceremonii aż do pańskiego powrotu.

Appiani. Ceremonii? tylko ceremonii?

Marinelli. Eh! dobrzy rodzice nie będą tego brali tak znów na seryo.

Appiani. Dobrzy rodzice?

Marinelli. A Emilia pozostanie panu naturalnie bez zawodu...

Appiani. Naturalnie bez zawodu? Jesteś pan ze swoim naturalnie... kompletnym naturalnie orangutanem.

Marinelli. Czy to do mnie mówisz, hrabio?

Appiani. Czemużby nie?

Marinelli. Do stu piekieł!... Rozmówimy się z sobą!

Appiani. Bah! orangutan jest złośliwy, jednakże...

Marinelli. Śmierć i potępienie!... Hrabio, żądam satysfakcyi!

Appiani. To się rozumié.

Marinelli. I miałbym prawo żądać jej natychmiast, tylko że szczęśliwemu nowożeńcowi nie chcę zakłócać dnia dzisiejszego.

Appiani. Jakie szlachetne serce! Ale nie! ale nie! (*Chwyta-
jąc go za rękę.*) Do Massy wprawdzie nie mogę dziś dać się wysłać,
ale na przechadzkę z panem zostaje mi czasu dosyć. Chodź pan,
chodź pan!...

Marinelli (*wyrywa mu się*). Tylko cierpliwości, hrabio, tylko
cierpliwości! (*Wychodzi.*)

S C E N A X I.

APPIANI, *później* KLAUDYA.

Appiani. Idź, nikczemniku!... Ha! to mi dobrze zrobiło... Krew się we mnie wzburzyła... czuję, że mi inaczej i lepiej.

Klaudia (*wchodzi śpiesznie, przelekta*). Mój Boże! panie hrabio! słyszałam żywą sprzeczkę... Twarz pana w ogniu... Co się stało?

Appiani. Nic, łaskawa pani, nic. Szambelan Marinelli oddał mi wielką usługę. Oszczędził mi chodzenia do księcia.

Klaudia. Rzeczywiście?

Appiani. Możemy za to wcześniej wyjechać. Pójdę dać rozkazy moim ludziom i za chwilę tu wracam. Emilia tymczasem będzie gotowa.

Klaudia. Czy mogę być zupełnie spokojną, panie hrabio?

Appiani. Najzupełniej, łaskawa pani. (*Wychodzi.*)

A K T I I I.

Sala wchodowa w zamku księcia w Dosalo.

S C E N A I.

KSIĄŻĘ, MARINELLI.

Marinelli. Nadaremnie: odrzucił ofiarowany zaszczyt z największą pogardą.

Książę. I na tym się skończyło? I wszystko pójdzie swoim porządkiem? I Emilia Galotti zostanie dziś jego żoną?

Marinelli. Według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Książę. Wróżyłem sobie tyle po twojej zręczności... Któż wie, jak niedołąźnie musiałeś się zabrać do tego. Jeżeli czasem rada głupca bywa dobrą, to jednak trzeba, żeby ją ktoś roztropniejszy wykonał. Powinienem był o tym pamiętać.

Marinelli. Otóż jestem pięknie wynagrodzony!

Książę. Za co wynagrodzony?

Marinelli. Za to, że życie swoje chciałem zaryzykować w tej sprawie... Gdym się przekonał, że ani poważna perswazyja, ani do wcip nie były w stanie go nakłonić, aby zaszczyt przeniósł nad mi-

łość, postanowiłem doprowadzić go do gniewu. Zacząłem mu prawić takie rzeczy, że się zapomniał. Obraził mnie, zażądałem zadośćuczynienia... zaraz, natychmiast. Myślałem sobie: albo on mnie, albo ja jego... Jeśli ja jego, to pole dla nas otwarte... Jeśli on mnie... a no, gdyby nawet... w takim razie musi uciekać, a księżę przynajmniej zyska na czasie.

Książe. Tybys to był zrobił, Marinelli?

Marinelli. Ha! należałoby naprzód wiedzieć, poświęcając się dla wielkich tego świata, jak się zostanie wynagrodzonym.

Książe. A hrabia? Powiadają o nim przecież, że mu nie trzeba takich rzeczy powtarzać dwa razy.

Marinelli. Zależy to od okoliczności zapewne... Któżby mu to mógł brać za złe? Odpowiedział, że ma dziś coś ważniejszego do czynienia, niż stawać ze mną do walki. Wyznaczył mi termin dopiero w tydzień po swym ślubie...

Książe. Z Emilią Galotti!.. Ta myśl przyprawia mnie do wściekłości... I na tém poprzestałeś?... odszedłeś i przychodzisz chęć się z tego, żeś chciał życie narazić, żeś się dla mnie poświęcał?

Marinelli. Cóż jednak, dostojny panie, miałem jeszcze uczynić?

Książe. Jeszcze uczynić?... Tak, jakby już co uczynił!

Marinelli. Racz jednak powiedzieć, dostojny panie, co sam w swojej sprawie zrobiłeś? Miałeś księżę sposobność mówić z nią w kościele; o cóż się wasza książęca mość z nią umówiłes?

Książe (*szyderczo*). Ciekawości masz dosyć!... Którą ja tylko zaspokoić winienem!... O! wszystko poszło według życzenia. Nie potrzebujesz się fatygować, mój najusłużniejszy przyjacielu!... Ona z największą chęcią przychyliła się do mych żądań, zdawało się nawet, że miała ochotę je uprzedzić. Mogłem być ją zabrać od razu z sobą. (*Zimno i rozkazująco*.) Teraz wiesz już, coś chciał wiedzieć, panie Marinelli, i możesz odejść.

Marinelli. I możesz odejść!... Tak, tak, to jest koniec piosenki! I taki byłby nawet wówczas, gdybym się starał dokonać czegoś niemożliwego... Niemożliwego, powiedziałem?... Tak niemożliwem nie było to w istocie, jak raczej zuchwałem. Gdybyśmy mieli pannę w swęj mocy, to ręczę, że ze ślubu niebys było.

Książe. Ba! ba! za coby ten człowiek nie ręczył! Nie trzeba nic więcej, tylko żebym mu dał oddział mojej straży przybocznej, aby wraz z nią ukrył się w zasadzce przy drodze, napadł w pięćdziesięciu na powóz, porwał dziewczynę i w tryumfie mi ją przyprowadził!...

Marinelli. Nieraz już porywano dziewczynę tak, że to nie wyglądało wcale na gwałtowne porwanie.

Książę. Gdybyś coś podobnego zrobić potrafił, tobys z tém na-przód się nie przechwalał.

Marinelli. Za następstwa jednak nie można być odpowiedzialnym... Może zająć przy tém jaki nieszczęśliwy wypadek.

Książę. Czyż ja mam zwyczaj czynić kogo odpowiedzialnym za to, czemu nie mógł zapobiedz?

Marinelli. A zatém, dostojny panie... (*Słychać z daleka wystrzał*) Ha! co to było?... czy dobrze słyszałem?... Czy nie słyszałeś strzału, mości książę?... A teraz drugi!

Książę. Co to jest? co to znaczy?...

Marinelli. Jak sądzisz, wasza książęca mość?... Co będzie, jeśli okazałem się czynniejszym, niż książę myślałeś?...

Książę. Czynniejszym?... Powiedźże więc...

Marinelli. Krótko mówiąc, to o czém wspominaliśmy, robi się właśnie.

Książę. Czy podobna?

Marinelli. Tylko racz, książę, nie zapomnieć tego, o czém mnie przed chwilą zapewniłeś... Mam teraz słowo waszej książęcej mości, że...

Książę. Urządzoném to jednak zostało w taki sposób...

Marinelli. W jaki coś podobnego urządzać należało!... Wykonanie powierzone jest ludziom, na których spuścić się mogą. Droga idzie tuż koło zwierzyńca. Tam część z nich napadnie powóz, w zamiarze zrabowania go. A druga część, przy której jest jeden z moich służących, wypadnie ze zwierzyńca na pomoc napadniętym. Podczas bójki pozornój między obydwoma stronami, mój służący ma porwać Emilię, jakoby dla ocalenia jej, i przez zwierzyńiec przyniesie ją do zamku... Tak jest ułożone... Cóż powiesz na to, mości książę?

Książę. Rzecz to dla mnie zupełnie niespodziana!... Jakaś mnie przejmuje obawa... (*Marinelli przystępuje do okna.*) Dlaczego wyglądasz?

Marinelli. To musi być z téj oto strony... Tak!... człowiek w masce przeskakuje przez parkan zwierzyńca... zapewne śpieszy zawiadomić o pomyślnym rezultacie... Oddal się, dostojny panie...

Książę. Ah! Marinelli...

Marinelli. No cóż?... Nieprawdaż, że teraz zrobiłem za wiele, tak jak przedtém było za mało?

Książę. Nie to... Jednakże, mimo to wszystko, nie widzę...

Marinelli. Czego?... Najlepiej wszystko od razu!... Oddal się książę szybko... człowiek zamaskowany nie powinien cię widzieć. (*Książę wychodzi.*)

SCENA II.

MARINELLI, *później* ANGELO.

Marinelli (*zbliża się znów do okna*). Powóz wraca z wolna do miasta... Tak powoli?... I przy każdym drzwiczkach służący?... Te oznaki nie podobają mi się... może się zamach udał tylko w połowie. Odwożą ostrożnie do miasta kogoś rannego, a nie zabitego. . Maska się zbliża... To sam Angelo... Odważny aż do szaleństwa!... Zna tajną ścieżkę, która tutaj prowadzi... Daje mi znak... musi być pewnym swego. Ha! panie hrabio, nie chciałeś jechać do Massa, a teraz musisz odbyć daleko dłuższą drogę!... Zkąd się ty tak dobrze znasz na orangutanach? (*Zbliża się do drzwi.*) Dobrze ci było być złośliwym!... Cóż, Angelo?

Angelo (*zdejawszy maskę*). Bądź pan w pogotowiu, panie szambelanie, zaraz ją tu przyniosą!

Marinelli. I jakże wam poszło?

Angelo. Zdaje mi się, że dosyć dobrze.

Marinelli. Jakże z hrabią?

Angelo. Do usług!... Tak! tak!... Ale musiał chyba coś zwieńczyć, bo nie był tak zupełnie nieprzygotowany.

Marinelli. Mów mi prędko co masz powiedzieć... Czy zabity?...

Angelo. Żal mi serdecznie tego dobrego pana.

Marinelli. Masz tu za twoje dobre serce. (*Daje mu sakiewkę z pieniędzmi.*)

Angelo. Skończyło się także z moim dzielnym Nicolem. Jemu wypadło przypłacić tę sprawę.

Marinelli. Tak? więc straty po obu stronach?

Angelo. Powinienbym płakać po tym pocziwym chłopcu, chociaż śmierć jego powiększa mi to (*wskazuje sakiewkę*) o czwartą część. Jestem jego sukcesorem, bo go pomściłem. Takie jest u nas prawo, i nigdy słusznieszego nie postanowiono na korzyść wierności i przyjaźni... Ten Nicolo, panie szambelanie...

Marinelli. Dajże mi pokój z twoim Nicolem!... ale hrabia?... hrabia?

Angelo. Do pioruna! hrabia dobrze do niego wycelował! Za to też odplaciłem się hrabiemu!... Padł, i chociaż go żywego wzięto do powozu, ręczę, że z niego żywy nie wyjdzie.

Marinelli. Czyś tylko tego pewny, Angelo?

Angelo. Niech stracę u pana robotę, jeżeli tego niepewny! Czy pan szambelan ma jeszcze jakie rozkazy, bo daleka droga przedemną!... Chcielibyśmy dziś jeszcze dostać się zagranicę.

Marinelli. A więc idź!

Angelo. Gdyby znów kiedy czego było potrzeba, to pan szambelan wie gdzie o mnie pytać. Czegoby się kto inny podjął, to i dla mnie nie będzie za trudnem, a jestem tańszy niż kto inny! (*Wychodzi.*)

Marinelli (sam). Dobrze!... Lecz niezupełnie dobrze!... Wstydź się, Angelo! Któż widział być takim skąpcem?... Drugiego strzału wart był przecież!... A teraz musi się tylko męczyć, biedny hrabia! Wstydź się, Angelo! Bardzo nędznie prowadzisz swe rzemiosło, partacz z ciebie!... O tém jednakże książę wiedzieć nie powinien... Musi on najprzód sam przyjść do przekonania, jak dla niego ta śmierć jest dogodną. Ta śmierć!... Oh! cóżbym dał za pewność!... (*Wchodzi książę.*)

SCENA III.

KSIĄŻĘ, MARINELLI.

Książę. Idzie tutaj tamtą aleją. Śpieszy, wyprzedzając służącego. Widocznie przestрах skrzydeł jęj dodaje. Zapewne jeszcze niczego się nie domyśla. Wierzy, że ją ocalono od rozbójników. Ale czyż to długo potrwa?

Marinelli. Przedewszystkiem będziem ją mieli.

Książę. A czyż matka nie będzie jęj szukała? Czy hrabia zaraz po nią nie przyjdzie? Cóż zrobimy wówczas? Jakże mogę ją przytrzymywać?

Marinelli. Na to wszystko wprawdzie nic jeszcze odpowiedzieć nie umiem. Ale zobaczymy. Chcię być cierpliwym, dostojny panie. Pierwszy krok przecież zrobić było potrzeba.

Książę. Po co? skoro trzeba będzie cofnąć?

Marinelli. Może nam się uda nie cofać... Jest tysiąc okoliczności, na których później opręć się będzie można. A zapominasz, książę, o najważniejszej...

Książę. Jakże mogę zapomnieć o tém, o czem nigdy nie myślałem... Co nazywasz najważniejszym?

Marinelli. Sztukę podobania się, przekonywania, na której nigdy nie zbywa książętom, gdy kochają...

Książę. Nigdy nie zbywa... tylko tam, gdzie jest właśnie najpotrzebniejsza... Dziś już bardzo bezskutecznie próbowałem téj sztuki. Wszelkiemi pochlebstwami i uwielbieniami nie zdołałem ani słowa z nięj wycisnąć. Niema, przerażona i drżąca stała przedemną, jakby słuchała wyroku śmierci. Przestрах jęj udzielił się mnie, drżałem także i zakończyłem prośbą o przebaczenie. Przynajmniej za-

raz w pierwszej chwili widzieć jej nie chcę. Ty, Marinelli, musisz ją przyjąć. Ja tu w pobliżu będę słuchał, jak się to odbędzie, i wejść, gdy nabiorę odwagi. (*Wychodzi.*)

S C E N A IV.

MARINELLI, później BATTISTA, EMILIA.

Marinelli. Byle tylko nie widziała, jak padał... A musiała nie widzieć, skoro tak śpieszy... Już tu jest... I jabym nie chciał pierwszy wpaść jej w oczy. (*Usuwa się na bok.*)

Battista. Tędy, tędy, łaskawa pani.

Emilia (*bez tchu*). Ah! ah!... dziękuję ci, mój przyjacielu... dziękuję ci... Ale Boże! Boże!... gdzież ja jestem?... i sama!... gdzież jest moja matka?... gdzie hrabia?... Wszakże idą za nami?... zaraz za nami?

Battista. Tak sędzę.

Emilia. Tak sądzisz? a więc nie wiesz? nie widziałeś ich?... Wszakże strzelano za nami?

Battista. Strzelano?... czyżby...

Emilia. Tak, z pewnością! Mogli trafić hrabiego lub moją matkę!...

Battista. Pójdę do nich natychmiast.

Emilia. Ah! ze mną! Pójdę z tobą, muszę pójść z tobą... chodź, mój przyjacielu...

Marinelli (*przystępuje do niej, jak gdyby w tej chwili wszedł do sali*). Ah! to pani!... Co za nieszczęście, albo raczej co za szczęście!... Co za szczęśliwe nieszczęście sprowadza nam zaszczyt...

Emilia (*pomiészana*). Co? pan tutaj?... jestem zatem zapewne u pana?... Przebacz pan, panie szambelanie... Niedaleko ztąd zostaliśmy napadnięci przez rozbójników... Dobrzy ludzie przybyli nam na pomoc, a ten pocziwy człowiek uniósł mnie z powozu, i przyprowadził tutaj. Przeraża mnie jednak myśl, że sama jedna tylko zostałam ocaloną. Matka moja jest jeszcze w niebezpieczeństwie... strzelano nawet za nami... Ona może zabita... a ja żyję!... Wybacz pan... Muszę się ztąd oddalić.. muszę iść tam, gdzie właściwie zostać byłam powinna...

Marinelli. Chciej się pani uspokoić... wszystko się pomyślnie skończyło... będziesz pani wkrótce przy tych ukochanych osobach, o które tak żywym przejęta jesteś niepokojem. Zresztą... Battista, idź, biegnij... może nie wiedzą, że pani jest tutaj... może jej szukają

po domach w parku i zwierzyńcu... Sprowadź ich natychmiast tutaj.
(*Battista wychodzi.*)

Emilia. Czy tylko z pewnością? czy wszyscy ocaleni? czy im się nie stało jakie nieszczęście? Ah! jakież to przerażający dzień dla mnie!... Ale ja nie powinnam była tu zostawać, powinnam była pośpieszyć naprzeciw nich...

Marinelli. Po co, łaskawa pani?... Jesteś pani osłabiona i wylekła, potrzebujesz trochę ochłonać... Wejdz pani raczej do pokoju, gdzie wygodniej będzie odpocząć... Założyłbym się, że księżę jest już przy matce pani, i że ją pani sam tu przyprowadzi.

Emilia. Kto, panie?

Marinelli. Sam nasz najdostojniejszy księżę...

Emilia (*w największym przerażeniu*). Księżę?

Marinelli. Na pierwszą wiadomość pośpieszył na pomoc... Jest bardzo zmartwiony, że taką zbrodnię popełnić się považono tak blisko niego, prawie w jego oczach. Wydał rozkaz ścigania sprawców, i jeżeli schwytani zostaną, kara ich będzie straszną.

Emilia. Księżę?... Gdzież ja więc jestem?

Marinelli. W Dosalo, letniej rezydencji księcia.

Emilia. Co za przypadek!... I sądzisz pan, że księżę zaraz tutaj nadejdzie?... Ale przecież w towarzystwie mojej matki?

Marinelli. Oto już jest. (*Wchodzi księżę.*)

SCENA V.

KSIĄŻĘ, EMILIA, MARINELLI.

Księżę. Gdzież ona jest? gdzie?... Szukamy cię wszędzie, piękna pani... Nic się pani przecież złego nie stało?... Ha! to już wszystko dobrze!... Hrabia, matka pani...

Emilia. Ah! dostojny panie! gdzież oni są? gdzież jest moja matka?

Księżę. Niedaleko, tutaj w bliskości.

Emilia. Boże! w jakim stanie ja ich może ujrzę!... Ale ich ujrzę!... Bo, dostojny panie, ukrywasz coś przedemną... widzę to, ukrywasz...

Księżę. Ależ nie, droga pani. Podaj mi pani rękę i chodź zemną bez obawy.

Emilia (*wahając się*). Lecz... jeżeli się im nic złego nie stało... jeśli moje przeczucia mnie mylą... dlaczego ich tu dotąd nie ma? dlaczego nie z nimi przyszedłeś, dostojny panie?

Książę. A więc śpiesz pani, a wnet się rozproszą te okropne przywidzenia.

Emilia. Co ja mam począć? (*Załamuje ręce.*)

Książę. Jakto, pani? Miałabyś jakieś podejrzenia względem mnie?

Emilia (*kłękając przed nim*). U stóp twoich, dostojny panie...

Książę (*podnosi ją*). Zawstydzasz mnie pani... Tak, Emilio, zaśługuję na ten niemy wyrzut... Moje postępowanie dzisiejsze poranne nie da się usprawiedliwić... co najwięcej można je wybaczyć... Przebacza pani mojej słabości. Nie powinienem był niepokoić cię wyznaniem, po którym żadnego skutku spodziewać się nie mogłem. To też to przerażenie, z jakim mnie pani słuchałaś, dostatecznie mnie ukarało... I jeżeli mi wolno ten przypadek, który mi jeszcze raz daje sposobność widzenia pani i mówienia z panią, nim nadzieja moja na wieki pogrzebaną zostanie, jeżeli mi wolno uważać ten przypadek za cudowne odroczenie wyroku, który pani masz na mnie wydać, i za okoliczność pozwalającą błagać cię raz jeszcze o łaskę, to... nie drżysz pani.. będę powolnym najmniejszemu pani skinieniu... Ani słowem, ani westchnieniem nie obrażę cię, lecz nie dręcz mnie swą nieufnością, nie powątpiewaj ani na chwilę o nieograniczonej władzy, jaką posiadasz nademną... i nie wyobrażaj sobie, pani, że kiedykolwiek będziesz potrzebowała jakiejś opieki przeciwko mnie. Chodź pani, chodź pani tam, gdzie cię oczekują uwielbienia, które łaskawiej przyjmiesz. (*Wyprowadza ją, pomimo niejakiego oporu.*) Chodź za nami, Marinelli. (*Wychodzą.*)

Marinelli. Chodź za nami... to może także znaczyć: nie chodź za nami!.. I pocobym zresztą poszedł za niemi?... Niech spróbuje, czy z nią w cztery oczy co wskóra... Do mnie należy tylko pilnować, żeby im nie przeszkadzano. Hrabiego wprowadzie nie spodziewam się tutaj... Ale matka! ale matka! Dziwiłbym się bardzo, gdyby sobie spokojnie pojechała dalej, a córkę tutaj pozostawiła losowi... Ah! Battista .. cóż tam? (*Battista wchodzi śpiesznie.*)

SCENA VI.

BATTISTA, MARINELLI.

Battista. Matka, panie szambelanie...

Marinelli. Domyślałem się tego!... Gdzież ona jest?

Battista. Jeżeli pan naprzeciw niej nie wyjdzie, to za chwilę będzie tutaj... Nie szukałem jęj wcale, choć miałem niby taki rozkaz od pana, ale zdaleka usłyszałem jęj krzyk. Ma już ślad córki...

a może... może nawet całego naszego podstępu! Ile jest ludzi w okolicy, wszyscy się koło niej zgromadzili i każdy chce jej drogę wskazywać. Czy jej już powiedziano, że książkę tu jest, że pan tu jesteś, tego nie wiem. Co pan szambelan zrobi?

Marinelli. Zobaczymy! (*Namysła się.*) Nie wpuścić jej, jeżeli wie, że tu jest jej córka?... To nie uchodzi... Doprawdy, jakimi ona oczyma spojrzy, gdy zobaczy wilka przy swój owieczce... Mniejsza zresztą o oczy! Ale niech niebo ma w opiece uszy nasze!... No, cóż z tego? najlepsze płuca wyczerpać się muszą z sił, a do tego płuca kobiece... Wszystkie one przestają krzyczyć, gdy im już głosu zabraknie... Przypomnijmy sobie, żebyśmy ją mieli po naszej stronie... Jeżeli dobrze znam matki, to im pochlebia bardzo, gdy zostaną czemś w rodzaju świekry książęcej... Wpuść ją, Battista, wpuść ją!

Battista. Słysz pan! słysz pan!

Klaudia (*za sceną*). Emilio! Emilio! Moje dziecko, gdzie jesteś?

Marinelli. Idź, Battista, i staraj się tylko odprawić jej ciekawych towarzyszków. (*W chwili gdy Battista chce wyjść, Klaudia wchodzi.*)

SCENA VII.

CIŻ SAMI, KLAUDYA.

Klaudia. Ha! to ten wyniósł ją z powozu! Ten ją porwał!... Poznaję cię. Gdzie ona jest?... Mów, nieszczęśliwy!

Battista. Więc taka wdzięczność...

Klaudia. O! jeżeli na wdzięczność zasługujesz... to przebac mi, zacy człowieku!... Gdzie ona jest?... Nie dajcie mi jej dłużej szukać... Gdzie ona jest?

Battista. O! łaskawa pani, w samym niebie nie mogłaby być bezpieczniejszą... Oto mój pan, który panią zaprowadzi.. (*Do ludzi, którzy chcą wejść.*) Precz ztąd! wy! (*Wychodzi.*)

SCENA VIII.

KLAUDYA, MARINELLI.

Klaudia. Twój pan? (*Spostrzega Marinellogo i cofa się.*) Ha!... to twój pan?... Pan tutaj? i tutaj moja córka?... i to pan masz mnie do niej zaprowadzić?

Marinelli. Z prawdziwą przyjemnością, łaskawa pani.

Klaudia. Czekał pan!... zdaje mi się, że to pan, czy nie? odwie-

dzałeś dzisiaj hrabiego w moim domu? zostawiłam was samych... przyszło do kłótni...

Marinelli. Kłótni... O tém nic nie wiem... była tylko nie nie znacząca sprzeczka, przedmiotem której były interesa urzędowe.

Klaudia. Nazywasz się pan Marinelli?

Marinelli. Margrabia Marinelli.

Klaudia. Tak właśnie... A więc, słuchaj, panie margrabio... Marinelli... nazwisko Marinelli... z dodatkiem przekleństwa... nie! nie powinienam oczerniać zanego człowieka!... bez dodatku przekleństwa... przekleństwa ja się sama domyśliłam... Nazwisko Marinelli było ostatniem słowem umierającego hrabiego...

Marinelli. Umierającego hrabiego?... Hrabiego Appianiego?... słyszysz pani, co mnie w tych słowach najwięcej uderza... Umierającego hrabiego?... Nie rozumiem, co pani przez to chcesz powiedzieć.

Klaudia (*powoli, z goryczą*). Nazwisko Marinelli było ostatniem słowem umierającego hrabiego!... Rozumiesz pan teraz?... I ja nie zrozumiałam tego od razu, chociaż powiedział to takim tonem!... Słyszę go jeszcze!... Gdzie miałam zmysły, żem tego tonu nie pojęła od razu!...

Marinelli. Jakto, łaskawa paui?... Byłem przecież oddawna przyjacielem hrabiego, jego najzaufanyszim przyjacielem. Jeżeli zatem umierając wspomniał mnie...

Klaudia. Takim tonem?... Nie umiem go naśladować, nie umiem go opisać, ale ten ton zawierał w sobie wszystko, wszystko!... Co?... czy to rozbójnicy byli co nas napadli? To byli zbójcy, zapłaćeni zbójcy!... A Marinelli, nazwisko Marinelli było ostatniem słowem umierającego hrabiego!... I takim tonem!

Marinelli. I takim tonem?... Rzecz niesłychana, żeby na podstawie dźwięku jednego wyrazu, wymówionego w chwili przerażenia, oskarżać uczciwego człowieka?

Klaudia. Ha! gdybym mogła dźwięk tego wyrazu przedstawić sądowi!... Ale ja nieszczęśliwa! zapominam przy tém o mojej córce! Gdzie ona jest?... Co?... także zabita?... Co była winna moja córka, że Appiani był twoim wrogiem?

Marinelli. Wybaczam te słowa strapionej matce... Proszę za mną, łaskawa pani... Córka pani jest tutaj, w jednym z najbliższych pokoi, i zapewne przyszła już zupełnie do siebie z przerażenia. Z największą troskliwością sam ksiązę się nią zajmuje.

Klaudia. Kto? kto sam?...

Marinelli. Ksiązę.

Klaudia. Ksiązę?... Powiedz pan prawdę, ksiązę?... Nasz ksiązę?...

Marinelli. Któżby inny?

Klaudia. To tak!... Nieszczęśliwa ja matka!... A jój ojciec! jój ojciec! Przeklinać będzie dzień, w którym się urodziła... przeklinać będzie mnie...

Marinelli. Na Boga, łaskawa pani! co pani znów przyszło do głowy?

Klaudia. To rzecz jasna!... Czyż nie?... Dziś w kościele!... w oczach Wszechmocnego! w obec Przedwiecznego! zaczęło się to łotrowstwo, a oto koniec! (*Do Marinelliego.*) Ha! morderco, tchórzliwy, nędzny morderco! Niedość odważny, aby mordować własną ręką, ale dość nikczemny, aby mordować dla zadowolenia cudzej żądz!... Kazać mordować!... Wyrzutku morderców!... Uczciwi mordercy nie ścierpieliby cię pomiędzy sobą! ciebie! ciebie!... czemuż nie mam całej mojej żółci, całego mego jadu wypłuć ci w twarz jednym wyrazem?... ciebie! ciebie, rajfurze!

Marinelli. Mówisz od rzeczy, łaskawa pani... Ale miarkuj przynajmniej swój krzyk dziki i nie zapominaj gdzie jesteś...

Klaudia. Gdzie jestem? Mam pamiętać gdzie jestem? Co obchodzi dwicę, której młode wydarto, czym jest las, w którym ryczy?

Emilia (*za sceną*). Ha! moja matka! słyszę moją matkę!

Klaudia. Jój głos! to ona! usłyszała mnie! usłyszała mnie!... I ja miałam nie krzyczyć? Gdzie jesteście, moje dziecko? Idę! idę! (*Wpada do pokoju. Marinelli za nią.*)

A K T IV.

Taż sama dekoracya.

SCENA I.

KSIĄŻĘ, MARINELLI

Książę (*jakby wychodził z pokoju od Emilii*). Chodź, Marinelli! Muszę przyjść do siebie... i potrzeba mi twojej rady.

Marinelli. Oh! co za wściekłość macierzyńska! Ha! ha! ha!

Książę. Śmiejesz się?

Marinelli. Gdybyś książę był widział, jak tu w tej sali szalenie miotała się matka... krzyk jój przecież słyhać tam było! i jak łagodną stała się zaraz na pierwsze spojrzenie waszej książęcej mości...

Ha! ha! Wiedziałem dobrze, że żadna matka nie wydrapie oczu księciu za to, że jej córkę znajduje piękną.

Książę. Złym jesteś spostrzegaczem!... Córka padła bezwładna w jej objęcia... O swęj wściekłości zapomniała nie dla mnie; córkę swoją oszczędzała, nie mnie, jeżeli nie powiedziała głośniej i wyraźniej tego, czego wolałbym był nie słyszyć i nie rozumieć.

Marinelli. Czego, dostojny panie?

Książę. Po co udawanie? Powiedz wszystko! Czy to prawda, czy nie prawda?

Marinelli. A gdyby tak było?

Książę. Gdyby tak było? Więc tak jest? On zabity? zabity?
(*Groząc.*) Marinelli! Marinelli!

Marinelli. Cóż?

Książę. Na Boga! na najsprawiedliwszego Boga! ja téj krwi winien nie jestem. Gdybyś mi był naprzód powiedział, że hrabia ma to życiem przypłacić!... Nie! nie! choćby mnie to nawet samego życie kosztować miało!...

Marinelli. Gdybym to był księciu naprzód powiedział? Tak jak gdyby śmierć jego wchodziła do mego planu! zaleciłem Angelo wi jak najusilniej, żeby pamiętał, że się nikomu nic złego stać nie powinno. Obeszłoby się téż z pewnością bez wszelkiego gwałtownego czynu, gdyby hrabia pierwszy nie był sobie pozwolił. Wypalił poprostu jednemu w łeb.

Książę. W istocie, powinien był znać się na żartach!

Marinelli. Angelo wpadł w wściekłość i pomścił śmierć swego towarzysza.

Książę. Zaprawdę, to bardzo naturalne!

Marinelli. Wyrzucałem mu to bardzo surowo.

Książę. Wyrzucałeś? Jakie przyjacielskie obejście! Ostrzeż go, żeby się nie pokazywał w obrębie moich granic. Moje wyrzuty mogłyby nie być tak uprzejme.

Marinelli. Bardzo słusznie! Ja i Angelo, zamiar i przypadek, to wszystko jedno. Było wprawdzie z góry zastrzeżone, że żaden nieszczęśliwy wypadek, jaki przy tém zająć może, nie będzie na mój karb liczony.

Książę. Jak mówisz?... zająć... może? czy téż musi?

Marinelli. Coraz lepiej!... Jednak, dostojny panie, nim mi zechcesz bez ogródek powiedzieć, co o mnie myślisz, pozwól mi jedną okoliczność przedstawić! Śmierć hrabiego nie jest dla mnie bynajmniej obojętną. Wyzwałem go, był mi winien satysfakcją, zeszedł ze świata nie dawszy mi jej, i honor mój pozostał obrażony. Przypuściwszy, że pod każdym innym względem zasługuję na podejrzenie, jakie wasza książęca mość przeciw mnie powziąłeś, czy zasłu-

guję i pod tym także? (*Z udaném wzburzeniem.*) Któżby to śmiało mnie powiedzieć?

Książę (*ustępując*). Dobrze już, dobrze...

Marinelli. Gdyby on żył! O! gdyby on żył jeszcze! Wszystko, wszystko w świecie oddałbym za to... (*Z goryczą.*) Nawet łaskę mojego księcia, tę nieoszacowaną, drogocenną łaskę... oddałbym za to!

Książę. Rozumiem... dobrze już, dobrze. Śmierć jego nastąpiła przypadkiem, prostym przypadkiem. Zapewniasz mnie o tém, a ja... ja w to wierzę. Ale kto więcej w to uwierzy?... czy i matka?... czy i Emilia?... czy i świat?

Marinelli (*obojetnie*). Nie tak łatwo.

Książę. A jeśli w to nie uwierzą, w cóż wierzyć będą? Wzruszasz ramionami? Twego Angela uważać będą za narzędzie, a mnie za sprawcę...

Marinelli (*jeszcze obojetnie*). Jest to dosyć prawdopodobne.

Książę. Mnie! mnie samego! Albo muszę natychmiast wyrzec się wszelkich zamiarów względem Emilii.

Marinelli (*z największą obojętnością*). Cobyś książę także uczynić musiał, gdyby hrabia żył jeszcze.

Książę (*żywo, lecz zaraz potem panując nad sobą*). Marinelli! Nie przyprowadzaj mnie do wściekłości! Niech tak będzie! Niech tak będzie! To tylko chcesz powiedzieć, że śmierć hrabiego jest dla mnie szczęściem, największém szczęściem, jakie mnie spotkać mogło, jedyném szczęściem, które dopomódz mogło mojej miłości. I dlatego, niech się stanie co chce... Jeden hrabia na świecie mniej albo więcej! Czy nie zgaduję twoich myśli? Ba! i ja nie przerażam się niewielką zbrodnią, ale, mój przyjacielu, musi to być mała, cicha, naprawić się dająca zbrodnia. A nasza, widzisz, nie była ani cicha, ani dająca się powetować. Oczyszcziło to trochę drogę, lecz ją zagrodziło zarazem. Każdy winę zwali na nas, a my, niestety, nie dopuściliśmy się jej nawet! Wszystko to wynikło twoich mądrych, zadziwiających planów.

Marinelli. Jeżeli taka jest wola księcia.

Książę. A więc z czegoż? mów!

Marinelli. Idą na mój rachunek i takie rzeczy, które do mnie nie należą.

Książę. Gadaj!

Marinelli. A więc! Czyż to wynikło z moich planów, że na księcia spada takie widoczne podejrzenie? Wynikło to raczej z mistrzowskiego dodatku, którym wasza książęca mość plany moje uzupełnić raczyłeś.

Książę. Ja?

Marinelli. Pozwolę sobie powiedzieć księciu, że krok, który książę-

żę dziś rano przedsięwziąłeś w kościele, jakkolwiek był przedsięwziętym nader ostrożnie, i jakkolwiek był nieunikniony, że krok ten jednak do moich projektów nie należał.

Książę. Cóż jednak przez to popsulem?

Marinelli. Cały taniec wprowadzie przez to nie przepadł, ale na chwilę zgubiony został... takt.

Książę. Hm! nie wiem czy cię dobrze rozumiem.

Marinelli. A więc krótko i poprostu. Gdym przedsięwziął tę sprawę, nieprawdaż, że Emilia nic jeszcze nie wiedziała o miłości księcia? Jój matka tém bardziej. A jeżeli ja cały mój projekt oparłem na tej okoliczności? jeżeli książę cały fundament mego budynku podkopałeś?

Książę (*uderzając się w czoło*). Przekleństwo!

Marinelli. Jeżeli książę sam zdradziłeś swą tajemnicę?

Książę. Przekłète niedołęztwo!

Marinelli. A gdybyś książę nie był jój zdradził! Do licha! ciękawym bardzo, z jakich moich planów matka lub córka mogłyby mieć najmniejsze podejrzenie na księcia?

Książę. W istocie, masz słuszność.

Marinelli. Co jest z mojej strony bardzo niesłuszném; racz mi to wybaczyć, dostojny panie! (*Battista wchodzi śpiesznie.*)

SCENA II.

CIŻ SAMI, BATTISTA.

Battista. Hrabina przyjechała właśnie...

Książę. Hrabina? jaka hrabina?

Battista. Orsina.

Książę. Orsina?... Marinelli! — Orsina?... Marinelli!

Marinelli. Dziwię się temu niemniej, jak wasza książęca mość.

Książę. Idź, śpiesz, Battista, niech nie wysiada. Nie ma mnie tutaj. Nie ma mnie tutaj dla niej. Niech natychmiast zawraca. Idź, śpiesz! (*Battista wychodzi.*) Czego chce ta waryatka? Co ona sobie myśli? Zkąd wie, że tu jesteśmy? Czyżby przyjechała szpiegować? Czyżby się już czego dowiedziała? Ah! Marinelli, mówże, odpowiadaże przecież! Czyś się obraził, człowieku, który się mienisz moim przyjacielem? Obraziłeś się o nędzną sprzeczkę? Czy mam cię prosić o przebaczenie?

Marinelli. Ah! mości książę, skoro znów jesteś takim, jestem znów twoim całą duszą. Przybycie Orsiny jest dla mnie zagadką,

iak dla księcia. Odprawić ją jednak nie będzie łatwo. Cóż książę pragniesz uczynić?

Książę. Pod żądum pozorem nie mówić z nią, oddalić się.

Marinelli. Dobrze! tylko prędko! Ja ją przyjmę.

Książę. Ale tylko dlatego, aby ją nakłonić do odjazdu. Więc jej o niczym się nie rozgaduj. Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia...

Marinelli. Nie, mości książę, te ważniejsze są już zrobione... Bądź książę dobrej myśli! Czego jeszcze brakuje, zrobi się z pewnością samo przez się... Ale zdaje mi się, że już ją słychać... Chciój się pośpieszyć książę! Tam... (*Wskazuje gabinet, do którego książę się udaje.*) Jeżeli książę zechcesz, będziesz mógł nas słyszyć. Obawiam się, przeczuwam, że przyjechała w nienajlepszym usposobieniu. (*Wchodzi Orsina.*)

SCENA III.

ORSINA, MARINELLI.

Orsina (*nie spostrzegając Marinellogo*). Cóż to znaczy? Nikt nie wychodzi naprzeciw mnie, oprócz jakiegoś zuchwalca, który miał ochotę nie dozwolić mi wejść? Jestem przecież w Dosalo? W tém Dosalo, gdzie niegdyś na moje przyjęcie wybiegał cały tłum służących? gdzie mnie oczekiwała miłość i rozkosz? Miejsce to samo... ale... ale!... (*Spostrzegając Marinellogo*.) A! Marinelli! To dobrze, że książę wziął cię z sobą, margrabio... Nie, to niedobrze! Co z nim miałam do załatwienia, wołałabym z nim sama załatwić... Gdzież jest?

Marinelli. Książę, hrabino?

Orsina. Któżby inny?

Marinelli. Domyślasz się pani zatem, że jest tutaj? wiesz, że jest tutaj? Bo co do niego, to hrabiny Orsina bynajmniej się tu nie spodziewa.

Orsina. Nie? Więc nie odebrał mojego dzisiejszego listu?

Marinelli. Listu pani? Tak jest, przypominam sobie, że wspominał o liście od pani.

Orsina. A więc czyż go w tym liście nie prosiłam o zobaczenie się ze mną w Dosalo? To prawda, że mu się nie podobało mi odpisać. Dowiedziałam się jednak, że przed godziną rzeczywiście wyjechał do Dosalo. Sądziłam, że to dostateczna odpowiedź i przyjechałam.

Marinelli. Szczęśliwy przypadek!

Orsina. Przypadek? Słyszysz przecież, że to było umówione. Z mojej strony list, a z jego strony przyjazd. Cóż tak stoisz, margrabio, i patrzysz na mnie zdziwionemi oczyma? Dziwuje się biedna głowa, i czemuż to?

Marinelli. Zdawało mi się wczoraj, że tak daleką jest od pani myśl pokazania się księciu na oczy.

Orsina. Noc przynosi dobrą radę. Gdzież on jest? gdzie on jest? Zdaje mi się, że jest w pokoju, w którym słyszałam jakieś piski i paplaninę. Chciałam tam wejść, ale ten łotr służący zastąpił mi drogę.

Marinelli. Moja kochana, najdroższa hrabino...

Orsina. Była to paplanina kobięca. Co to jest, Marinelli?... O! powiedźże mi przecież, powiedźże mi... jeżeli w istocie jestem twoją kochaną, najdroższą hrabiną. Przekłeta dworska gawiedź! Ile wyrazów, tyle kłamstw! Cóż mi zresztą na tém zależy, czy mi powiesz, czy nie? Zobaczę przecież sama... (*Chce iść do pokoju.*)

Marinelli (*zatrzymując ją*). Dokąd?

Orsina. Gdzie oddawna już być powinnam. Czy sądzisz, że to wypada, żebym tu w sali wchodowej czas z tobą przepędzała na czcziej pogadance, kiedy księżę w salonach czeka na mnie?

Marinelli. Mylisz się, łaskawa hrabino. Księżę nie czeka na panią. Księżę teraz mówić z panią nie może... mówić nie chce.

Orsina. A przyjechał tutaj? przyjechał tutaj przecież w skutek mojego listu?

Marinelli. Nie w skutek listu pani.

Orsina. Przecież powiedziałeś, że go odebrał.

Marinelli. Odebrał, ale nie czytał.

Orsina (*żywo*). Nie czytał?... (*Spokojniej.*) Nie czytał?... (*Żalostnie, ocierając łzę.*) Nawet nie czytał!

Marinelli. Przez roztargnienie, jak sędzę; nie z lekceważenia...

Orsina (*dumnie*). Z lekceważenia? Któż mówi o tém? Kogo potrzebujesz o tém zapewniać?... Jesteś impertynenckim pocieszycielem, Marinelli!... Lekceważenie! lekceważenie!... Mnieby zatém lekceważył, mnie!... (*Łagodniej, wpadając w ton melancholiczny.*) To prawda, że mnie już nie kocha. To rzecz skończona. Miejsce miłości zajęło w jego duszy co innego. To naturalne. Ale czemuż koniecznie lekceważenie? Wystarczyłaby obojętność. Nieprawdaż, Marinelli?

Marinelli. Rzeczywiście, rzeczywiście.

Orsina (*szyderczo*). Rzeczywiście?... O rozsądny człowieku, który powtarzasz wszystko, co się komu wmówić w ciebie podoba!... Obojętność! obojętność w miejsce miłości?... To jest nic w miejsce czegoś... Bo dowiedźże się, umiejąca tylko popłać za drugimi dworska

figurko, dowiedz się od kobiety, że obojętność, to czeze słowo, próżny dźwięk, któremu nic, zupełnie nic nie odpowiada. Obojętną jest dusza tylko względem tego, o czém nie myśli, tylko względem przedmiotu, który dla niej nie jest przedmiotem. A być obojętnym tylko względem rzeczy, która nie jest rzeczą, jest to samo, co nie być wcale obojętnym... Czy to dla ciebie za trudne do pojęcia, człowieku?

Marinelli (*do siebie*). Nieszczęście! moje obawy się sprawdzają!

Orsina. Cóż tam mruczysz?

Marinelli. Wyrażam tylko podziwienie. Bo i komuż nie wiadomo, kochana hrabino, że pani jesteś filozofką?

Orsina. Nieprawdaż?... Tak, tak, jestem... Ale czy teraz można było po mnie to poznać?... Oh! pfe, jeżeliś spostrzedz to pozwoliła, i jeżeliś się częściej z tém poznać dawała!... Cóż dziwnego w takim razie, że książę mnie lekceważy?... Jakże mężczyzna może kochać rzecz, która wbrew jego woli poważa się myśleć? Kobieta, która myśli, to coś tak niesmacznego, jak mężczyzna, który sobie twarz maluje. Śmiać się to powinno, tylko śmiać, ażeby bądźco-bądź poważnego pana stworzenia utrzymywać w dobrym humorze. Z czego ja jednak roześmiałam się teraz, Marinelli? Ah! prawda! Ze szczególnego wypadku!... Piszę do księcia, żeby przyjechał do Dosalo; on mego listu nie czyta, a jednak do Dosalo przyjeżdża. Ha! ha! ha! prawdziwie szczególny przypadek! Bardzo wesoły, bardzo śmieszny!... A ty nie śmiesz się wraz ze mną, Marinelli? Śmiać się wraz z nami wolno przecież nawet poważnym panom stworzenia; tylko nam biednym istotom myśleć razem z nimi nie wolno. (*Poważnie i rozkazująco.*) Śmieję się przecież!

Marinelli. Zaraz, łaskawa pani, zaraz!

Orsina. Niedołęga!... A tymczasem chwila stosowna minie... Nie, nie, nie śmieć się już... Bo widzisz, Marinelli (*poważnie i z rozrzwinięciem*), to co mnie do tak serdecznego śmiechu pobudza, ma także swoją bardzo poważną stronę. Jak wszystko na tym świecie!... Przypadek? Więc to ma być przypadek, że książę nie myślał mówić tu ze mną, a jednak mówić tu ze mną będzie musiał?... Przypadek!... Wierzaj mi, Marinelli, wyraz przypadek jest bluźnierstwem. Nic pod słońcem nie dzieje się przypadkowo, a tém bardziej to, w czém zamiar widoczny jakby leżał na dłoni. Wszelmoćna, wszelmoćsierna Opatrzności, przebacz mi, żem wraz z tym grzesznikiem nazwała przypadkiem to, co jest widocznie twojem, chociaż niebezpośrednio twojem dziełem! (*Z gniewem do Marinello.*) Odważ się dopomódz mi raz jeszcze do podobnego grzechu!...

Marinelli (*do siebie*). Tego już za wiele! (*Głośno.*) Ależ, kochana hrabino...

Orsina. Cicho bądź z twojem ależ!... Każde „ależ“ wymaga zasta-

nowienia... a moja głowa! moja głowa! (*Przyciska rękę do czoła.*)
 Zrób to, Marinelli, zrób to, żebym mogła zaraz mówić z księciem.
 Później nie byłabym może zdolną. Widzisz, że powinniśmy, że musimy się rozmówić. (*Wchodzi książę.*)

S C E N A IV.

CIŻ SAMI, KSIĄŻĘ.

Książę (*do siebie, wychodząc z gabinetu.*) Muszę mu dopomódz...

Orsina (*sposzrzega go, waha się jednak, czy ma przystąpić do niego.*)
 Ha! otóż on!

Książę (*przechodzi w poprzek sali, koło niej, udając się do innych pokoi i nie zatrzymując się gdy mówi.*) Oh! to nasza piękna hrabina! Jakże mi przykro, pani, że z tych zaszczytnych odwiedzin tak mało mogę korzystać! Jestem zajęty. Nie jestem sam. Na inny raz, kochana hrabino, na inny raz. Teraz nie zatrzymuj się tu pani dłużej, nie zatrzymuj się pani. A ciebie, Marinelli, czekam. (*Wychodzi.*)

S C E N A V.

ORSINA, MARINELLI.

Marinelli. Usłyszałaś więc pani od niego samego to, w co nie chciałaś wierzyć, gdym ja mówił?

Orsina. Słyszałam? czy słyszałam w istocie?

Marinelli. W istocie.

Orsina (*ze wzruszeniem.*) „Jestem zajęty! Nie jestem sam“. Więc takiej tylko wymówki jestem godna? Kogóż to się w ten sposób odprawia? Każdego natręta, każdego żebraka. Jam nie warta choćby jakiego małego kłamstwa więcej? Szkoda nawet małego kłamstwa dla mnie? Zajęty? czémże? Nie sam? któżby mógł być u niego? Chodź, Marinelli... przez litość, kochany Marinelli, skłam co przedemną na jego rachunek. Czyż cię będzie tak wiele kosztowało jedno kłamstwo? Co on ma do roboty? Kto jest u niego? Powiedz mi, powiedz mi, cobądź ci się najprzód na myśl nasunie, a pójde.

Marinelli (*do siebie.*) Pod tym warunkiem mogę jęj nawet pewną część prawdy powiedzieć.

Orsina. No, mów prędko, Marinelli, to pójde. Powiedział prze-

cież książę: „Do innego razu, moja kochana hrabino!” Czyż nie tak powiedział? żeby mi dotrzymał słowa, żeby nie miał żadnego pretekstu do niedotrzymania mi słowa, prędko, Marinelli, skłamał a pójdę.

Marinelli. Książę, kochana hrabino, rzeczywiście nie jest sam. Są u niego osoby, od których się na chwilę oddalić nie może, osoby, które właśnie uszły wielkiego niebezpieczeństwa. Hrabia Appiani...

Orsina. On jest u księcia?... Szkoda, Marinelli, że na tém kłamstwie złapać cię muszę. Prędzej, mów jakie inne. Bo hrabia Appiani, jeżeli o tém nie wiesz jeszcze, został właśnie zastrzelony przez rozbójników. Powóz wiozący jego zwłoki spotkałam wyjeżdżając z miasta... A może to nieprawda? Może mi się tylko marzyło?

Marinelli. Niestety! nie marzyło się pani. Lecz ci, którzy z hrabią byli, zdolali szczęśliwie schronić się do zamku, a mianowicie jego narzeczona i matka narzeczonej, z którymi jechał do Sabionetty na obrządek zaślubin.

Orsina. A więc one? one są u księcia? Narzeczona? i matka narzeczonej? Czy narzeczona jest ładna?

Marinelli. Księża nadzwyczaj obeszło jęć nieszczęście.

Orsina. Spodziewam się, nawet gdyby była brzydka... Bo los jęć jest okropny. Biedne, dobre dziewczę... wówczas, gdy miał zostać twoim na zawsze, został ci na zawsze wydarty! Któż to jest ta narzeczona? Czy ja jęć nie znam? Tak długo nie byłam w mieście, że o niczem nie wiem.

Marinelli. To Emilia Galotti.

Orsina. Co?... Emilia Galotti? Emilia Galotti?... Marinelli! strzeż się, żebym tego kłamstwa za prawdę nie wzięła!

Marinelli. Jako?

Orsina. Emilia Galotti?

Marinelli. Wątpię, żebyś ją знаła, hrabino...

Orsina. Może! może! chociażby dopiero od dzisiaj. Doprawdy, Marinelli? Emilia Galotti? Emilia Galotti jest tą nieszczęśliwą narzeczoną, którą książę pociesza?

Marinelli (*do siebie*). Czyżbym już za wiele powiedział?

Orsina. A hrabia Appiani był narzeczonym tej nieszczęśliwej? ten sam dzisiaj zastrzelony Appiani?

Marinelli. Nieinaczéj.

Orsina. Brawo! o! brawo! brawo! (*Klaszcze w ręce.*)

Marinelli. Jako?

Orsina. Uściskałabym szatana, który go do tego namówił.

Marinelli. Kto namówił? do czego?

Orsina. Tak, uściskałabym, uściskałabym go. Choćbyś to nawet ty był tym szatanem, Marinelli!

Marinelli. Hrabino!

Orsina. Chodź tutaj! Patrzaj na mnie! śmiało! oko w oko!

Marinelli. No, cóż?

Orsina. Czy nie wiesz co ja myślę?

Marinelli. Zkądżebyś mógł wiedzieć?

Orsina. Nie miałeś w tém żadnego udziału?

Marinelli. W czém?

Orsina. Przysiąż!... Nie, nie przysięgaj!... Popełniłbyś jeden grzech więcej... Albo dobrze, przysiąż. Co znaczy jeden grzech mniej albo jeden więcej dla tego, kto już jest potępiony! Nie miałeś w tém żadnego udziału?

Marinelli. Przestraszasz mnie, hrabino!

Orsina. Z pewnością?... A więc, Marinelli, czy w twojem dobrém sercu nie powstało jakie podejrzenie?

Marinelli. Jakto? względem czego?

Orsina. Dobrze... więc ja ci powierzę tajemnicę... ale taką, na którą włosy powstaną ci na głowie... Ale tutaj, tak blisko drzwi, mógłby nas kto usłyszeć... I... (*Kładzie palec na ustach.*) Słuchaj! w największej tajemnicy! w największej tajemnicy! (*Zbliża usta do jego ucha, jakby mu coś szepnąć chciała, mówi jednak bardzo głośno.*) Książę jest mordercą!

Marinelli. Hrabino... hrabino... tracisz głowę!

Orsina. Głowę? Ha! ha! ha! (*Śmiejąc się na cały głos.*) Rzadko kiedy, a może nigdy nie byłam tak zadowoloną z mojej głowy, jak w tej chwili... Niezawodnie, Marinelli... ale niech to pozostanie pomiędzy nami. (*Cicho.*) Książę jest mordercą! mordercą hrabiego Appiani!... Nie rozbójnicy to, ale pomocnicy księcia, ale książę go zamordował!

Marinelli. Zkąd podobna potworność mogła powstać na ustach i w umyśle pani?

Orsina. Zkąd?... Bardzo naturalnie... Z tą Emilią Galotti, która teraz jest u niego, której narzeczony tak na łeb na szyję na tamten świat powędrować musiał... z tą Emilią Galotti rozmawiał książę dzisiaj rano w krąganku pod Dominikanami bardzo długo i szeroko. Wiem o tém, widzieli to moi znajomi. Słyszeli nawet co z nią mówił. No, kochany panie, straciłam głowę? Zdaje się, że potrafię jeszcze kombinować rzeczy, które zostają z sobą w związku... Albo może zdarzyło się to tak niespodziewanie? Może dla ciebie i to jest przypadek? O Marinelli, jeżeli tak sądzisz, to się tak samo nie znasz na złości ludzkiej, jak na Opatrzności boskiej.

Marinelli. Hrabino, naraziłabyś swoje życie...

Orsina. Gdybym to rozpowiadała innym?... Tém lepiej, tém lepiej!... Jutro krzyczeć o tém będę na rynku... A kto mi zaprzeczy...

kto mi zaprzeczy, ten był kompanem mordercy... Bądź zdrów. (*Chce wyjść; we drzwiach spotyka się z Odoardem Galotti, który wchodzi szybko.*)

SCENA VI.

CIŻ SAMI, ODOARDO.

Odoardo. Przebac, łaskawa pani.

Orsina. Nie mam tu nic do przebaczenia, bo mi niczego za złe brać tu nie wolno. Udaj się pan do tego pana. (*Wskazuje Marinello.*)

Marinelli (*spostrzegając go, do siebie.*) Tego tu jeszcze brakowało! Stary!

Odoardo. Przebac pan ojcu, będącemu w największej trwodze, że się poważa wchodzić bez oznajmienia.

Orsina (*do siebie.*) Ojciec? (*Wraca się.*) Emilii bezwątpienia!... Ha! witajże mi!

Odoardo. Mój służący przyjechał do mnie z wiadomością, że moja rodzina znajduje się tu w niebezpieczeństwie. Przybywam czém prędzej i dowiaduję się, że hrabia Appiani został raniony, że go odwieziono do miasta, i że moja żona i córka schroniły się do zamku. Gdzież one są, panie? gdzie one są?

Marinelli. Bądź pan spokojny, panie pułkowniku. Małżonce i córce pańskiej nic złego się nie stało, z wyjątkiem przestachu. Obie są zdrowe. Księżę jest przy nich. Idę natychmiast pana zameldować.

Odoardo. Dlaczego meldować? po co meldować?

Marinelli. Z przyczyny... z powodu... z powodu księcia... Wiész pan, panie pułkowniku, na jakiej stopie jesteś z księciem. Nie na zbyt przyjaźnej, jak sądzę. Jakkolwiek łaskawym się okazał dla pańskiej małżonki i córki.. to są kobiety... czyż dlatego niespodziewane ujrzenie pana ma już być dla niego przyjemnym?

Odoardo. Masz pan słuszość, panie, masz pan słuszość.

Marinelli. Ale, kochana hrabino, czy będę mógł mieć przedtém zaszczyt odprowadzić panią do powozu?

Orsina. Nie, nie.

Marinelli (*biorąc ją niezbyt łagodnie za rękę.*) Pozwól pani, że dopełnię mej powinności...

Orsina. Tylko powoli!... Uwalniam cię od niej, mój panie! Wy dworacy zawsze macie zwyczaj z grzeczności robić powinność, jak gdyby rzeczywiście waszą powinnością było zajmować się drobnost-

kami!... Tego szanownego człowieka zameldować jak najprędzej, to jest pana powinność!

Marinelli. Zapominasz pani, że sam ksiązę pani rozkazał?

Orsina. Niech przyjdzie i rozkaże mi jeszcze raz. Czekam na niego.

Marinelli (*po cichu do Odoarda, którego odprowadza na stronę*). Mój panie, muszę pana zostawić tutaj z tą panią, która... której... na umyśle... rozumiesz mnie pan. Mówię to panu, abyś wiedział, jaką wagę przywiązywać do jej słów... bo czasem dziwne rzeczy wygaduje. Najlepiej nie wchodzić pan z nią w rozmowę.

Odoardo. Dobrze... Chciej się pan tylko pośpieszyć. (*Marinelli wychodzi.*)

SCENA VII.

ORSINA, ODOARDO.

Orsina (*po krótkim milczeniu, podczas którego patrzy na Odoarda ze współczuciem, on zaś na nią z niejaką ciekawością*). Co on panu powiedział, nieszczęśliwy człowieku?

Odoardo (*pół do siebie, pół do niej*). Nieszczęśliwy?

Orsina. Prawdy nie mówił z pewnością... a z największą pewnością nie powiedział żadnej z tych prawd, które tu na pana czekają.

Odoardo. Na mnie czekają? Czyż nie dosyć już wiem? Pani!... Mówże pani! Mówże pani!

Orsina. Nie wiesz pan nic.

Odoardo. Nic?

Orsina. Dobry, kochany ojcie!... Co jabym dała, gdybyś pan także był moim ojcem! Wybacz pan! nieszczęśliwi tak łatwo wiążą się z sobą... Chciałabym rzetelnie boleść i oburzenie z panem podzielić.

Odoardo. Boleść i oburzenie?... pani!... Zapominam jednak... Chciej pani mówić dalej.

Orsina. Gdyby to nawet była pańska jedyna córka, pańskie jedyne dziecko!... Wszystko jedno, czy jedyne, czy nie... Nieszczęśliwe dziecko jest zawsze jedyne.

Odoardo. Nieszczęśliwe?... Pani!... Czegóż ja chcę od niej?... Jednakże, na Boga, tak nie przemawiają obłąkane.

Orsina. Obłąkane?... A więc on to panu o mnie powiedział?... No, no, być może, że to nie było jednem z grubszych jego kłamstw... Czuję coś takiego... I wierz mi pan, wierz mi pan, kto w pewnych okolicznościach nie utraci rozumu, ten go nie miał do stracenia!

Odoardo. Co ja mam myśleć o tém?

Orsina. Że nie powinienes mną pogardzać! Bo ty także masz rozum, dobry starcze, pan także. Poznaję to z twojej miny stanowczej, nakazującej szacunek. I pan także masz rozum, a potrzebuję tylko wyrzec słowo... i nie będziesz go miał.

Odoardo. Pani! Pani!... Stracę go wprzód, nim mi powiesz to słowo, jeśli mi go zaraz nie powiesz!... Powiedz mi je! powiedz mi je! Albo nieprawdą jest... nieprawdą jest, że należysz do tego dobrego, na litość naszą, na szacunek nasz zasługującego rodzaju obłąkanych; jesteś pospolitą waryatką! Nie masz tego, czegoś nigdy nie miała.

Orsina. A więc uważaj pan! Cóż pan wiesz, kiedy sądzisz, że wiesz już wszystko? że Appiani jest raniony? tylko raniony?... Appiani jest zabity!

Odoardo. Zabity? zabity?... Ha! kobięto! to jest przeciw umowie... Miałas zniweczyć mój rozum, a rozdzierasz mi serce.

Orsina. To w dodatku!... Teraz dalej... Narieczony jest zabity, a narieczona, twoja córka, gorzej niż zabita.

Odoardo. Gorzej? gorzej niż zabita? Ale także zabita... Znam bowiem tylko jedno gorsze...

Orsina. Nie zabita. Nie, dobry ojcze, nie! Żyje, żyje! Dopiero teraz zacznie żyć, życiem rozkosznym, najpiękniejszym, najweselejszym, próżniaczem życiem... dopóki ono trwać będzie.

Odoardo. Słowo, pani, jedyne słowo, które mnie ma pozbawić rozumu! Powiedz je!... Nie cedź trucizny po kropelce!... Jedno słowo! prędko!

Orsina. A więc przesyłabizuj je sobie! Dziś rano ksiązę na mszy rozmawiał z twoją córką... dziś wieczór ma ją na letniej swojej rezydencji... na rezydencji!...

Odoardo. Rozmawiał na mszy? ksiązę z moją córką?

Orsina. Z jaką poufałością! z jakim zapalem!... Mieli dużo z sobą do obgadania. I bardzo dobrze, że się ze sobą umówili; bardzo dobrze, jeżeli twoja córka dobrowolnie się tu schroniła! Widzisz pan, w takim razie nie jest to gwałtowne porwanie, tylko poprostu małe... skrytobójstwo.

Odoardo. Potwarz! bezbożna potwarz! Ja znam moją córkę. Jeżeli to było skrytobójstwo, to było także porwanie. (*Spogląda dziko do koła siebie, tupie nogą i wybucha.*) Cóż, Klaudio? cóż, mateczko? Czy nie doczekaliśmy się radości? O! doczekaliśmy! Dostojnego księcia! Nader szczególnego zaszczytu!

Orsina. Cóż starcze? działa? działa?

Odoardo. Otóż jestem przed jaskinią rozbójnika. (*Rozpina suknię i spostrzega, że nie ma broni.*) To cud, że w pośpiechu i ręk nie zostawiłem. (*Macza się po kieszeniach, jakby czegoś szukał.*)

Orsina. Ha! rozumiem!... Na to mogę zaradzić. Przywiozłam

z sobą. (*Wydobywa sztylet.*) Weź pan to, weź pan prędko, nim nas kto zobaczy! Miałam także coś jeszcze... truciznę. Ale trucizna jest tylko dla kobiet, nie dla mężczyzn. Weź go pan!... (*Oddając mu sztylet.*) Weź go!

Odoardo. Dziękuję... dziękuję... Drogie dziecię, jeżeli ktokolwiek jeszcze powie, że jesteś waryatką, będzie miał ze mną do czynienia.

Orsina. Ukryj pan przy boku! szybko przy boku! Ja nie będę miała sposobności użycia go. Panu jój nie zabraknie, a skorzystasz z pierwszej lepszej, jeżeli jesteś mężczyzną. Ja jestem tylko kobietą, alem jednak tu przysłała ze stanowczém postanowieniem! My, starcze, my możemy sobie wszystko powierzyć, bo oboje jesteśmy znieważeni, znieważeni przez tego samego uwodziciela... Ah! gdybyś pan wiedział, jak niewypowiedzianie, jak niezmiernie i nad wszelkie pojęcie on mnie znieważył i jeszcze znieważa, tobyś mógł zapomnieć, tobyś zapomniał przy tém o swojej własnej obrazie. Czy znasz mnie? Jestem Orsina, oszukana, porzucona Orsina... Porzucona wprawdzie może dla twojej córki. Ale cóż twoja córka temu winna? Wkrótce i ona będzie porzuconą. A potem znowu inna! I znowu inna!... (*Jakby w zachwycie.*) Co za cudna fantazyja!... Gdybyśmy kiedyś wszystkie, my, cała gromada porzuconych, przemieniane w bachantki i furey, dostały go pomiędzy siebie i mogły go rozszarpać, potargać, przetrząść jego wnętrzności, aby w nich znaleźć to serce, które każdej przyrzekał, a którego żadnej z nas nie dał! Ha! toby był taniec! toby był taniec!

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, KLAUDYA.

Klaudia (*wchodząc, patrzy po sali, a spostrzegłszy męża biegnie do niego*). Zgadłam!... A! nasz obrońco! nasz wybawco! Więc ty tu jesteś, Odoardo? więc jesteś? Z ich szeptów, z ich twarzy domyśliłam się tego. Oóż ci mam powiedzieć, jeżeli jeszcze nie wiesz? Co ci mam powiedzieć, jeżeli wiesz wszystko? Ale my jesteśmy niewinne. Jam jest niewinna. Twoja córka niewinna! Niewinna! niczemu niewinna!

Odoardo (*na widok żony starając się panować nad sobą*). Tylko bądź spokojną, bądź spokojną... i odpowiedz mi... (*Zwracając się do Orsiny*.) Nie dlatego, pani, żebym o tém wątpił... Czy hrabia jest zabity?

Klaudia. Zabity.

Odoardo. Czy prawda, że księżę dziś rano na mszy rozmawiał z Emilią?

Klaudia. Prawda. Ale gdybyś wiedział, jak ją przestraszył, w jakim przerażeniu przyszła do domu..

Orsina. No cóż? czy skłamałam?

Odoardo (z gorzkim śmiechem). O! nie chciałbym też żebyś pani skłamała! Bynajmniej!

Orsina. Czy jestem obłąkaną?

Odoardo (chodząc tam i napowrót wzburzony). Oh! i ja jeszcze nie jestem.

Klaudia. Kazałeś mi być spokojną, jestem spokojną... Najlepszy mąż, czy mogę także... prosić ciebie..

Odoardo. Czego chcesz? Czyż nie jestem spokojny? Czyż można być spokojniejszym odemnie? (Starając się panować nad sobą.) Czy wie Emilia, że Appiani zabity?

Klaudia. Wiedzieć nie może. Ale obawiam się, czy się nie domyśla, ponieważ go tu nie ma.

Odoardo. Jęczy i płacze?

Klaudia. Już nie. To już przeszło, jak znasz jój charakter. Jest najbojaźliwszą i najśmielszą zarazem z całej płci naszej. Nad pierwszymi wrażeniami nigdy zapanować nie umie, ale po niejakićj rozwadze wszystko pojmuje i na wszystko jest przygotowaną. Księżcia trzyma w przyzwóitém oddaleniu, mówi z nim takim tonem... Postaraj się tylko, Odoardo, abyśmy ztąd odjechali.

Odoardo. Jestem konno... Co począć? (Do Orsiny.) Ale pani wracasz da miasta?

Orsina. Nieinaczéj.

Odoardo. Czy będziesz pani łaskawa zabrać moją żonę?

Orsina. Dlaczego nie? Bardzo chętnie.

Odoardo. Klaudio... (przedstawiając jój Orsinę). Hrabina Orsina; dama bardzo rozumna, moja przyjaciółka, moja dobrodziejka. Pojedziesz z nią, i odeślesz tu zaraz powóz. Emilia nie wróci do Gwastalli. Pojedzie zemną.

Klaudia. Lecz... jeśli tylko... nie chciałabym rozłączać się z dzieckiem.

Odoardo. Czyż ojciec nie zostaje przy niej? Ojca przecież do niej dopuszczają! Tak być musi!... Proszę, łaskawa pani. (Do Orsiny po cichu.) Usłyszysz pani o mnie... (Głośno do Klaudyi.) Chodź, Klaudio. (Wyprowadza je.)

A K T V.

T a ż s a m a d e k o r a c y a .

S C E N A I.

MARINELLI, KSIĄŻĘ.

Marinelli. Tutaj, dostojny panie, z tego okna widzieć go można. Chodzi pod arkadą tam i napowrót... Teraz zawraca... idzie tutaj... nie... wraca znów... Nie uspokoił się jeszcze zupełnie... ale o wiele jest spokojniejszy... a przynajmniej zdaje się spokojniejszym... dla nas zresztą to wszystko jedno. Naturalnie! czyż się poważy to powtórzyć, co mu obie kobiety w głowę nakładły? Battista słyszał, że żona ma mu powóz zaraz odesłać... Bo przyjechał konno... Ksiązę możesz być pewnym, że gdy tu przyjdzie, będzie najpokorniej dziękował Jego Wysokości za łaskawą opiekę, jaką jego rodzina w tym smutnym wypadku tutaj znalazła, będzie polecał siebie i swoją córkę dalszej łasce waszej książęcej mości, odwiezie ją spokojnie do miasta, i z największym poddaniem oczekiwać będzie, czy i nadal wasza książęca mość nie raczysz brać udziału w losach jego nieszczęśliwego, ukochanego dziewczęcia.

Ksiązę. Jeżeli jednak nie jest tak miękki? A wątpię, wątpię bardzo, żeby był takim. Znam go zbyt dobrze. Jeżeli, co najwyżej, słłumi swoje podejrzenia, ukryje swą wściekłość, ale zamiast odwieźć Emilię do miasta, zabierze ją do siebie? zatrzyma przy sobie? albo zamknie w jakim klasztorze po za granicami mojego księstwa? Cóż wtedy?

Marinelli. Obawa miłości przewiduje bardzo wiele zaprawdę! Nie będzie on przecież...

Ksiązę. Jeżeli jednak będzie? cóż wtedy? cóż nam to pomoże, że nieszczęśliwy hrabia życie utracił?

Marinelli. Poco te smutne wspomnienia? Naprzód idźmy! takie bywa hasło zwycięzców, którzy nie powinni na to zważać, czy koło nich pada nieprzyjaciel czy też przyjaciel. A gdyby nawet! Gdyby stary zazdrośnik chciał tak postąpić, jak się ksiązę obawiasz... (*Przekonywajaco.*) I tak zrobimy swoje... mam na to sposób. Skończy się na tém tylko, że będzie chciał tak zrobić... Ale nie zrobi! z pewnością nie! Nie powinniśmy jednak tracić go z oczu. (*Zbliża się znowu do okna.*) Niewiele brakowało, żeby zeszedł nas niespodziewanie!...

Idzie tutaj... Usunęmy się jeszcze na chwilę, i wysłuchaj przede-wszystkiém ksiązę, co w najgorszym razie zrobić będzie potrzeba.

Ksiązę (*grożąc*). Tylko, Marinelli !...

Marinelli. Rzecz najniewinniejsza, pod słowem ! (*Wychodzą, wchodzi Odoardo.*)

SCENA II.

ODOARDO (*sam*).

Jeszcze nikogo tu nie ma?... Dobrze, będę jeszcze spokojniejszym... To moje szczęście... Nie ma nic wstrętniejszego od siwój głowy w gorące młodzieńczej! Mawiałem to często. A jednak dałem się wprowadzić w uniesienie... I komu? kobiecie zazdrosnej, kobiecie obłąkanėj z zazdrości. Co ma wspólnego pokrzywdzona cnota z pragnącym zemsty występkiem? Ja tylko powinienem ratować... A twoją sprawę... mój synu! mój synu!... Nie umiałem do-tychczas płakać, a teraz uczyć się nie chcę. Twoją sprawę kto in-ny przyjmie za swoją... Dla mnie wystarczy, jeżeli morderca owoców swojej zbrodni używać nie będzie. To go udręczy bardziej, niż sama zbrodnia! Jeżeli przesyt i niesmak każą mu szukać coraz nowych rozkoszy, niechże wspomnienie, że ta jedna mu się wymknęła, zapra-wi mu wszystkie inne gorczyą! Niech co noc we śnie obłany krwią nowożeniec przyprowadza przed jego łoże swą narzeczoną, a gdy wyciągnie do niój dłoń pożadliwą, niech usłyszy nagle chichot pie-kielny i niech tak się przebudzi. (*Wchodzi Marinelli.*)

SCENA III.

MARINELLI, ODOARDO.

Marinelli. Gdzie pan byłeś tak długo, panie? gdzie pan byłeś?

Odoardo. Czy córka moja była tutaj?

Marinelli. Ona nie, ale ksiązę.

Odoardo. Niech mi wybaczysz. Musiałem odprowadzić hrabinę.

Marinelli. I cóż?

Odoardo. Dobra kobieta!

Marinelli. A gdzież pańska małżonka?

Odoardo. Pojechała z hrabiną... Powóz nam odeśle zaraz. Mo-że ksiązę raczy pozwolić, abym aż do tego czasu tutaj z córką pozos-tał.

Marinelli. Po co tyle zachodów? Czyż księciu nie byłoby przyjemnie odwiedzić samemu obie panie, matkę i córkę, do miasta?

Odoardo. Przynajmniej córka musiałaby za zaszczyt ten podziękować.

Marinelli. Jakto?

Odoardo. Nie powróci już do Gwastalli.

Marinelli. Nie?... dlaczego nie?

Odoardo. Hrabia został zabity.

Marinelli. Tém bardziej zatém...

Odoardo. Powinna jechać ze mną.

Marinelli. Z panem?

Odoardo. Mówię panu przecież, że hrabia został zabity... jeżeli pan o tém jeszcze nie wiesz... Cóżby teraz robiła w Gwastalli?... Musi pojechać ze mną.

Marinelli. W każdym razie miejsce przyszłego pobytu córki zależy będzie jedynie od woli ojca... Lecz przedewszystkiém...

Odoardo. Cóż przedewszystkiém?

Marinelli. Będiesz pan musiał pozwolić, panie pułkowniku, żeby została odwieziona do Gwastalli.

Odoardo. Moja córka? odwieziona do Gwastalli? dlaczego?

Marinelli. Dlaczego?... zważ pan tylko...

Odoardo (z gniewem). Zważyć! zważyć!... Tyle tylko zważyć mogę, że tu nie ma nic do zważania. Powinna, musi pojechać zemną.

Marinelli. O! mój panie... nie potrzebujemy się tu wcale zapalać! Być może, że się mylę, że to jest niepotrzebném, choć ja za potrzebne to uważam... Książę najlepiej będzie umiał to osądzić. Niech książę zadecyduje. Pójdę i przyprowadzę go. (*Wychodzi.*)

SCENA IV.

ODOARDO (*sam*).

Co? Nigdy! Mnie chcą przepisywać dokąd ona ma się udać?... Z pod méj władzy chcą ją usunąć?... Kto chce tego? Kto śmie?... Ten, który wszystko co chce może uczynić? Dobrze, dobrze, a więc zobaczy, ile ja także zrobić mogę, chociażbym może nie powinien! Krótkowidzący tyranie! mogę się zmierzyć z tobą. Kto nie szanuje żadnego prawa jest równie potężny, jak ten co żadnemu nie podlega. Czy nie wiesz o tém? Przychódź! przychódź!... Ale cóż to? Znowu gniew wchodzi w zapasy z rozsądkiem. Czego ja chcę? To, o co się miotam, dopiero ma stać się. Czegóż to pleść nie może taki dworski paszyt!... Trzeba mu było przynajmniej dać się wygadać!

Gdybym był przynajmniej wysłuchał pretekstu, dla którego żądają, aby pojechała do Gwastalli, byłbym się mógł także przygotować na odpowiedź. Wprawdzie, czyż mogą wymyślić coś takiego, na co nie miałbym odpowiedzi?... Gdyby mi jęj jednak zabrakło, gdyby ona... Już idą. Spokojnie, starcze, spokojnie! (*Wchodzą ksiązę i Marinelli.*)

S C E N A V.

KSIĄŻĘ, MARINELLI, ODOARDO.

Książę. Ah! mój kochany, poczciwy Galotti! więc aż coś takiego zająć musiało, żebym cię zobaczył u siebie? Mniej ważny powód nie byłby cię sprowadził... Ale dajmy pokój wymówkom!

Odoardo. Dostojny panie, uważam w każdym wypadku za niewłaściwe narzucać się swojemu księciu. Kogo on zna, tego zawezwie, gdy potrzebować go będzie. Teraz nawet proszę o przebaczenie.

Książę. O! jakżebym życzył niejednemu tęg skromności, tak szlachetnie dumnej!... Ale do rzeczy. Pragnąłbyś, pułkowniku, widzieć swoją córkę. Zaniepokoiła się ona na nowo, z powodu tak nagłego oddalenia się jęj szanownęj matki. Pocóż się oddaliła?... Czekałem tylko, aż piękna Emilia zupełnie przyjdzie do siebie, ażeby obie tryumfalnie odwieźć do miasta. Pozbawiłeś mnie, pułkowniku, połowy tego tryumfu, ale całego wydrzeć sobie nie dam.

Odoardo. Zbytek łaski! Pozwól mości ksiązę, że memu nieszcześliwemu dziecku oszczędzę wszystkich przykrości, jakie w Gwastalli czekają na nią od przyjaciół i nieprzyjaciół, od współczujących i złośliwych.

Książę. Byłoby okrucieństwem pozbawić ją słodkich pociech przyjaźni i współczucia; aby zaś przykrości ze strony nieprzyjaciół i złośliwych jęj nie spotkały, pozwól mnie nad tęg czuwać, kochany Galotti.

Odoardo. Mości ksiązę, miłość rodzicielska niechętnie się swoich praw i obowiązków wyrzeka... Sądę że wiem, co jedynie w takiej chwili mojęj córce przystało... Oddalenie od świata.. klasztor, jak można najprędzej.

Książę. Klasztor?

Odoardo. Tymczasem płakać będzie pod okiem swojego ojca.

Książę. Tyle wdzięków miałoby zwiędnąć w murach klasztoru? Czyż jedna chybiona nadzieja ma ją na zawsze poróżnić ze światem?

Bądź co bądź jednak, przeciwko woli ojca nikt nie powiedzieć nie może... Odwieź swoją córkę gdzie chcesz, Galotti.

Odoardo (*do Marinello*). I cóż, panie?

Marinelli. Czy pan mnie wyzywasz?

Odoardo. O bynajmniej! bynajmniej!

Książę. Co macie pomiędzy sobą?

Odoardo. Nic, dostojny panie, nic... Rozważamy tylko, kto z nas dwóch pomylił się na waszej książęcej mości...

Marinelli. Bardro mi przykro, że się narażam na niełaszkę księcia... lecz, gdy mi przyjaźń co czynić nakazuje, jej przedewszystkiém się radzę.

Książę. Jaka przyjaźń?

Marinelli. Wiadomo ci, dostojny panie, jak kochałem hrabiego Appianiego, jak ścisły związek łączył nasze dusze.

Odoardo. Wiész o tém, mości książę? Jeżeli tak, to wiész o tém sam jeden tylko.

Marinelli. Przez niego samego powołany na mściciela...

Odoardo. Pan?

Marinelli. Spytaj się pan swojej małżonki... Marinelli, nazwisko Marinelli było ostatniém słowem umierającego hrabiego... i jakim tonem je wymówił! jakim tonem!... Oby mi nigdy ten głos jego z uszów nie wyszedł, jeżeli nie dołożę wszelkich starań, aby jego mordercy wykryci i ukarani zostali!

Książę. Możesz liczyć na moje współdziałanie najusilniejsze.

Odoardo. I na moje najgorętsze życzenia!... Dobrze, dobrze... Ale cóż dalej?

Książę. I ja o to pytam, Marinelli.

Marinelli. Jest podejrzenie, że to nie rozbójnicy napadli hrabiego.

Odoardo (*szydęrczo*). Nie? doprawdy nie?

Marinelli. Że jakiś rywal chciał go z drogi swojej usunąć.

Odoardo (*z goryczą*). Oh! rywal!

Marinelli. Nieinaczéj.

Odoardo. Ha! może... niechaj Bóg skarże skrytobójcę!

Marinelli. Rywal, cieszący się względami rywal.

Odoardo. Co?... cieszący się względami?... Co pan mówisz?...

Marinelli. Nic, powtarzam tylko krążące wieści.

Odoardo. Cieszący się względami? względami mojej córki?

Marinelli. Z pewnością tak nie jest, tak być nie może. Zaprzeczam temu, nawet gdybyś pan tak twierdził... Z tém wszystkiém jednak, dostojny panie, najbardziej uzasadnione wewnętrzne przekonanie na szali sprawiedliwości znaczy tyle co nic... Z tém wszyst-

kiem niepodobna pominąć przesłuchania w tym względzie tej tak pięknej, a tak nieszczęśliwej osoby.

Książę. To prawda, w istocie.

Marinelli. A gdzież indziej, gdzież indziej odbyć się to może, jeżeli nie w Gwastalli?

Książę. Tak jest, masz słuszość, Marinelli, masz słuszość... Tak jest, to zmienia stan rzeczy, kochany Galotti. Nieprawdaż? Widzisz sam...

Odoardo. O tak, widzę... Widzę, co widzę!... Boże! Boże!

Książę. Co ci jest, pułkowniku? Co ci jest?

Odoardo. Martwi mnie, że nie przewidywałem wprzód tego, co teraz widzę... nie więcej... A więc trudno, musi pojechać do Gwastalli. Odwiozę ją do matki i dopóki najsurowsze śledztwo nie będzie ukończone, sam także nie wyjadę z miasta. Bo kto wie... *(z gorzkim śmiechem)* kto wie, czy sprawiedliwość nie uzna także za konieczne i mnie przesłuchać.

Marinelli. Bardzo być może! W podobnych wypadkach sprawiedliwość woli zrobić za wiele, niż za mało... Dlatego obawiam się nawet...

Książę. Co?... czego się obawiasz?

Marinelli. Że prawdopodobnie nie będzie można dozwolić, aby przed przesłuchaniem matka i córka z sobą mówiły.

Odoardo. Żeby z sobą nie mówiły?

Marinelli. Zajdzie konieczność rozłączenia matki i córki.

Odoardo. Rozłączenia matki i córki?

Marinelli. Matki i córki i ojca. Forma prawna wymaga tego koniecznie, i przykro mi bardzo, łaskawy panie, że czuję się zmuszonym nastawać na to, aby szczególnie Emilię zatrzymano w odosobnieniu.

Odoardo. Ją szczególnie w odosobnieniu?... Książę! książę!... Ależ tak, prawda, prawda! bardzo słusznie... ją szczególnie w odosobnieniu!... Nie, książę? nie?... O jak przezorną jest sprawiedliwość! Przewybornie! *(Kładzie rękę szybko do kieszeni, w której ma sztylet.)*

Książę *(łagodnie, zbliżając się do niego)*. Przyjdź do siebie, kochany Galotti.

Odoardo *(na stronie, wyjmując rękę próżną z kieszeni)*. To anioł jego przemówił!

Książę. Jesteś w błędzie, nie rozumiesz go. Pod wyrazem odosobnienie, rozumiesz może więzienie albo areszt?

Odoardo. Pozwól mi książę tak myśleć, a będę spokojny.

Książę. Ani słowa o więzieniu, Marinelli! Surowość prawa da się tu łatwo pogodzić z poszanowaniem należnem nieskażonej cnoty.

Jeżeli Emilia musi być zatrzymaną w szczególném odosobnieniu, to znam już dla niej... najprzystwoitsze. Dom mojego kanclerza... żadnego oporu, Marinelli!... Tam sam ją odwożę. Będzie tam oddaną pod opiekę jedną z dam najszanowniejszych, i ta mi za nią odpowiadać będzie... Posuwasz się zadaleko, rzeczywiście zadaleko, Marinelli, jeżeli wymagasz więcej... Znasz przecież, Galotti, mojego kanclerza Grimaldiego i jego małżonkę.

Odoardo. Czemużby nie? Nawet miłą córeczkę tej zacnej pary znam także. Któż jej nie zna? (*Do Marinelliego.*) Nie, panie, nie przystawaj na to. Jeżeli Emilia musi być odosobnioną, trzeba ją wtrącić do najgłębszego więzienia. Nastawaj pan na to, proszę pana... Szaleniec jestem z moją prośbą! Stary głupiec! Miała słuszność pocziwa sybilla: kto w pewnych okolicznościach nie utraci rozumu, ten go nie ma do stracenia.

Książę. Nie rozumiem cię, kochany Galotti; cóż ja więcej uczynić mogę? Poprzestań na tém, proszę cię. Tak, tak, do domu mego kanclerza! Tam się udać powinna, tam ją sam odwożę, a jeżeli tam nie będzie doznawała największego poszanowania, to słowo moje nie ma żadnego znaczenia. Ale nie obawiaj się tego... Na tém stanęło! Na tém stanęło!... Co do ciebie, Galotti, możesz postąpić jak uznasz za stosowne. Możesz pojechać za nami do Gwastalli, możesz wrócić do Sabionetty, jak chcesz. Byłoby śmiesznością przepisywać ci postępowanie. A zatem do widzenia, kochany Galotti. Chodź, Marinelli, już jest późno.

Odoardo (*który już stał w głębokiem zamysleniu*). Co? a więc nie mam wcale mówić z moją córką? nawet tu mi tego nie wolno? Zgadzam się przecież na wszystko, uznaję wszystko przewyborném. Dom kanclerza jest naturalnie przybytkiem cnoty. O, dostojny panie, odwiez moją córkę tam! nie gdzieindziej, tylko tam! Ale pomówić z nią pragnąłbym bardzo. O śmierci hrabiego nic jeszcze nie wié. Nie będzie mogła pojąć, dlaczego ją rozłączają z rodzicami. Trzeba powiedzieć jej o tém nieszczęściu, uspokoić ją co do tego rozłączenia, dostojny panie; muszę z nią mówić.

Książę. A więc chodź...

Odoardo. O! córka przecież mogłaby przyjść do ojca. Tutaj w cztery oczy wkrótce z nią skończę. Przyslij mi ją tylko, dostojny panie.

Książę. Przyzwalam i na to!... O Galotti, gdybyś chciał być moim przyjacielem, moim przewodnikiem, moim ojcem! (*Wychodzi z Marinellim.*)

S C E N A VI.

ODOARDO (*sam, po chwili, patrząc za nimi*).

Dlaczego nie?... Z całego serca!... Ha! ha! ha! (*Spogląda dziko dokoła.*) Kto się tu śmiał? Na Boga, zdaje mi się, że to ja sam... Bardzo pięknie! Wesoło, wesoło! Zabawa zbliża się do końca. Tak albo tak!... Lecz... (*Chwila milczenia.*) Jeżeli ona jest z nim w porozumieniu? Jeżeli to tylko zwykła komedya? Jeżeli nie jest wartą tego, co dla niej chcę uczynić?... (*Chwila milczenia.*) Dla niej chcę uczynić?... Cóż to ja dla niej chcę uczynić?... Czy mam odwagę sam sobie to powiedzieć... Tak, obmyśliłem coś! Coś takiego, o czém tylko myśleć można... Okropne! precz! precz! nie będę na nią czekał! nie! (*Zwracając wzrok do nieba.*) Kto ją niewinną w tę przepaść wtrącił, ten niech ją z niej wyprowadzi. Na co mu potrzebna moja ręka? (*Chce odejść i spostrzega wchodzącą Emilię.*) Zapóźno! On chce mojej ręki! On chce!

S C E N A VII.

EMILIA, ODOARDO.

Emilia. Co? tyś tutaj, mój ojciec? I tylko ty?... A moja matka? nie ma jej tu?... A hrabia?... Nie ma go tu?... I takiś niespokojny, mój ojciec?

Odoardo. A ty takas spokojna, moja córko?

Emilia. Czemuż nie, mój ojciec?... Albo nic nie jest stracone, albo wszystko. Módsz a musieć być spokojnym, czyż to nie jedno?

Odoardo. A w jakimże położeniu sądzisz, że jesteś?

Emilia. Sądzę, że wszystko jest stracone, i że musimy być spokojni, mój ojciec.

Odoardo. I ty musiałabyś być spokojną, dlatego, że to konieczność? Kto ty jesteś? dziewczyna? moja córka?... A więc mężczynna i ojciec musi się wstydzić przed tobą?... Ale powiedz mi, co nazywasz stratą wszystkiego? czy to, że hrabia zabity?

Emilia. I to, za co zabity! za co!... Ha! więc to prawda, mój ojciec? Więc prawdą jest ta cała straszna historia, którą z wilgotnych i dziko spoglądających oczu matki mej wyczytałam?... Gdzie jest moja matka?... Gdzie ona jest, ojciec?...

Odoardo. Pojechała naprzód... jeżeli za nią pojedziemy.

Emilia. Im prędzej tém lepiej... Bo jeżeli hrabia zabity, jeżeli dlatego zabity... dlatego!... czegoż czekamy tu jeszcze? Uciekajmy, mój ojciec.

Odoardo. Uciekać?... Jakaż potrzeba?... Jesteś, zostajesz w ręku tego, który cię porwał.

Emilia. Zostanę w jego ręku?

Odoardo. I do tego sama, bez matki, bezemnie.

Emilia. Sama w jego ręku? Nigdy, mój ojciec... Albo nie jesteś moim ojcem... Ja sama w jego ręku?... Dobrze, pozostaw mnie więc, pozostaw mnie... Chciałabym zobaczyć, kto mnie zatrzyma?... Kto mnie zmusi?... Kto jest ten człowiek, który drugiego człowieka zmusić może?

Odoardo. Sądziłem, że jesteś spokojną, moje dziecko.

Emilia. Jestem spokojną. Ale co nazywasz spokojem? Czy włożyć ręce do kieszeni? Cierpieć, kiedy się nie powinno? znosić to, czego znosić nie należy?

Odoardo. Ha! jeżeli tak myślisz!... Chodź, niech cię uściskam, moja córko!... Mówiłem zawsze, że kobietę przyroda chciała uczynić swym arcydziełem. Lecz omyliła się co do gliny i wybrała za delikatną. Zresztą wszystko jest lepsze w was, niż w nas... Ha! jeżeli to jest spokój, to i ja swój odzyskuję... Chodź! niech cię uściskam, moja córko!... Wyobraź sobie: pod pozorem sądowego śledztwa... o! co za piekielny wymysł!... wrywa cię z moich objęć i odwozi do Grimaldich...

Emilia. Wrywa mnie? odwozi mnie?... Chce mnie wyrwać, chce mnie odwieźć... chce! chce!... Tak, jakbyśmy oboje nie mieli także woli, mój ojciec!

Odoardo. To też byłem tak wściekły, że już chwytalem za sztylet (*wyjmuje go*), aby jednemu z nich dwóch... dwóch!... serce nim przeszyć.

Emilia. W imię Nieba, nie, mój ojciec!... Życie jest wszystkim, co posiadają występnicy... Mnie, mnie, ojciec, oddaj ten sztylet.

Odoardo. Dziecko, to nie szpilka do włosów.

Emilia. A więc szpilka do włosów będzie sztyletem. Wszystko jedno.

Odoardo. Co? aż do tego miałoby przyjść?... O nie!... o nie!... zastanów się... I ty masz także tylko jedno życie do stracenia.

Emilia. I tylko jedną niewinność.

Odoardo. Która jest wyższą nad wszelką przemoc.

Emilia. Lecz nie nad wszelkie uwodzenia... Przemoc! przemoc! Któż nie jest w stanie oprzeć się przemocy?... Co jest przemocą, jest niczem! Prawdziwą premocą jest uwiedzenie!... Ja mam krew, ojciec, tak młodą, gorącą krew, jak każda inna. Nie odpowiadam za nic. Nie rękę za nic. Znam dom Grimaldich. To dom rozkoszy. Jedna godzina, którą tam przepędziłam pod okiem mojej matki, tyle zamętu sprawiła w mojej duszy, że najsurowsze ćwiczenia religijne

ledwie po kilku tygodniach uspokoić mnie zdołały!... Religii, i jakiej religii!... której tysiące wyznawców, aby czegoś niegorszego uniknąć, rzucali się w płomienie i są świętymi!... Daj mi, ojcze, daj mi ten sztylet...

Odoardo. Gdybyś ty go знаła, ten sztylet!

Emilia. Chociaż go nie znam!... Nieznajomy przyjaciel jest także przyjacielem... Daj mi go, ojcze, daj mi go!

Odoardo. A gdybym ci go dał?... masz! (*Oddaje.*)

Emilia. A więc... (*Chce się przebić, ojciec wyrywa jej sztylet z ręki.*)

Odoardo. Oh! jak szybko!... Nie, to nie na twoją rękę.

Emilia. To prawda, szpilką do włosów powinienam... (*Szuka we włosach i wyjmuję z nich różę.*) Jeszcześ tutaj?... Precz!... nie powinnaś zdobić włosów takię... jaką mój ojciec chce, żebym została!

Odoardo. O moja córko!

Emilia. O mój ojciec, jeżeli cię odgadła!... Ale nie; nie masz tego zamiaru... pocóżbyś zwlekał?... (*Z goryczą, obrywając listki róży.*) Był niegdyś ojciec, który swojej córce, ażeby ją ocalić od hańby, pierwszém lepszém żelazem przeszył łono... i drugi raz dał jej życie. Ale takie czyny są dawne! Takich ojców nie ma już dzisiaj!

Odoardo. Są, moja córko, są! (*Przebija ją.*) Boże! cóż uczyniłem? (*Emilia chwije się, ojciec bierze ją w objęcia.*)

Emilia. Złamałeś różę, nim burza oberwała jej liście... Daj ucałować tę ojcowską rękę. (*Wchodzi Księżę i Marinelli.*)

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, KSIĄŻĘ, MARINELLI.

Księżę (*wchodząc*). Co to jest?... Czy Emilii niedobrze?...

Odoardo. Dobrze, bardzo dobrze!

Księżę (*zbliża się*). Co ja widzę?... Okropność!

Marinelli. Biada mi!

Księżę. Okrutny ojciec! co zrobiłeś?...

Odoardo. Złamałem różę, nim burza oberwała jej liście... Czy prawda, moja córko?

Emilia. Nie ty, mój ojciec!... Ja sama!... ja sama...

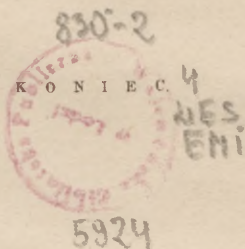
Odoardo. Nie ty, moja córko... nie ty!... Nie schodź z nieprawdą ze świata... Nie ty, moja córko! Twój ojciec, twój nieszczęśliwy ojciec!

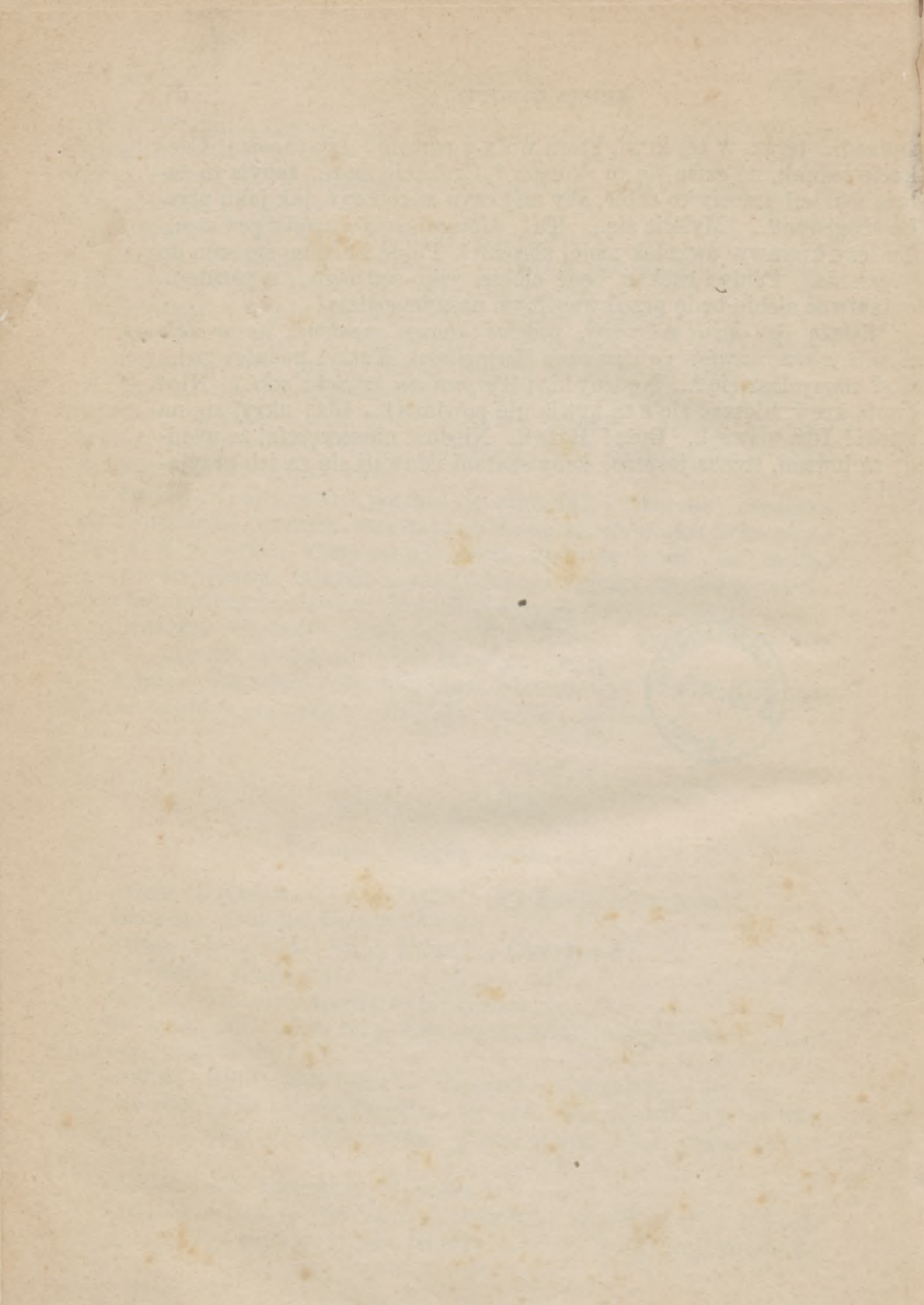
Emilia. Ah! mój ojciec... (*Umiéra.*)

Odoardo (*składając jej ciało na podłozę*). Spoczywaj!... No cóż, księżę?... Czy podoba ci się jeszcze?... Czy podnieca jeszcze twe

żądze?... teraz, w tej krwi, która woła o pomstę? *(Po chwili.)* Czekacie jednak, na czém się to skończy? Czekacie może, żebym to żelazo zwrócił przeciwko sobie, aby mój czyn zakończyć, jak jaką płytą tragedję?... Mylicie się... Tu! *(Rzuca księciu sztylet pod nogi.)* Tu leży krwawy świadek mojej zbrodni! Pójdę i oddam się sam do więzienia. Pójdę i czekać będę ciebie, jako sędziego... a później... oczekiwać ciebie będę przed wspólnym naszym sędzią!

Księżę *(po chwili milczenia, podczas którego wpatruje się w ciało Emilii, z przerażeniem i rozpaczą do Marinellogo).* Tutaj! podnieś go!... Co? namyślasz się?... Nędzny!... *(Wrywa mu sztylet z ręki.)* Nie! twoja krew mieszać się z tą krwią nie powinna!... Idź! ukryj się na wieki! Idź, mówię!... Boże! Boże!... Niedość nieszczęścia, że władcy są ludźmi, trzeba jeszcze, żeby szatani udawali się za ich przyjaciół!





Biblioteka WSP Kielce



0193972